Stron 8 GABRIEL MARCEL. - MÓJ PRZYJACIEL KARO. - OGNIWA. **Cena 1 sh**

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. **Londyn, niedziela 17 września 1950** **Nr. 38 (169)**

XXI KONGRES „PAX ROMANA“

MISJA KATOLICKIEGO INTELIGENTA

PRZED paru tygodniami podaliśmy Czytelnikom wiadomość o XXI Kongresie międzynarodowego ruchu studentów i intelektualistów katolickich Pax Romana, który w dniach od 19 — 26 sierpnia obradował w Amsterdamie. Był to pierwszy Kongres, na którym spotkali się na wspólnych obradach tak studenci (M.I.E.C.) jak i seniorzy (M.I.I.C.).

Pax Romana (jej cząstką polską jest PKSU Veritas), jest ruchem międzynarodowym, którego znaczenie — i potrzeba rosną z roku na rok. Jeśli są prawdą słowa jednego z tak słynnycn w całym świecie listów ś.p. kard. E. Suhard, że najważniejszym apostolstwem katolików w świecie dzisiejszym jest apostolstwo myśli, Pax Romana, skupiająca tyle świetnych nazwisk katolickich we wszystkich częściach świata, spełnia najważniejszą rolę spośród wszystkich organizacyj katolickich. Tę rolę docenia Stolica Apostolska przez mianowanie protektorem Pax Romana kard. Pizzardo, a więc tego purpurata, który opiekuje się Akcją Katolicką na całym świecie. O wadze tego ruchu dla katolicyzmu i dla świata świadczy list Ojca św., wystosowany do uczestników Kongresu, który podajemy poniżej.

Dzięki PKSU Veritas — w tym wielkim ruchu walki o pełną prawdę i promieniowanie prawdą chrześcijańską nie brak i Polaków. Kraj nasz jest niestety nieobecny — nie z własnej woli oczywiście — w światowych imprezach katolickich, ale dzięki Veritas biorą w nich udział Polacy. I to bynajmniej nie ostatni. Sekretarzem centrali Pax Romana jest b. członek sekretariatu PKSU Veritas p.. Mieczysław Habicht; (wśród jego walorów niech nam wolno będzie wskazać przynajmniej na jego doskonałą znajomość języków obcych — w tym także chińskiego). Na ostatnim Kongresie brała udział bardzo spora jak na polskie możliwości organizacyjne na emigracji grupa Veritasu (ponad 30 osób), zarówno studentów jak i seniorów, a jeden z najznakomitszych referatów na Kongresie — o chrześcijańskim rozumieniu sensu historii — wygłosił członek seniorów Veritas, prof. Oskar Halecki. Referat jego cieszył się wprost rekordowym powodzeniem. Drugim prelegentem grupy polskiej była p. Łubieńska, przyjaciółka słynnej rewolucjonistki w pedagogii, dziś 80-letniej p. Montessori. (P. Montessori jest pierwszą kobietą, która otrzymała doktorat medycyny na rzymskim uniwersytecie; zajęła się szczególnie wychowaniem dzieci upośledzonych). P. Łubieńska cieszy się ogromnym autorytetem jako pedagog we Francji i Anglii i z ramienia episkopatu francuskiego prowadzi swą akcję nie tylko bezpośrednio wśród dzieci, lecz także przygotowuje nauczycielki, prowadzące dalej akcję wychowania i kształtowania dzieci według jej oryginalego systemu, opartego na zasadach, czerpanych z liturgii. W tym roku na zaproszenie katolickich kół angielskich przeprowadziła w kilku ośrodkach wychowawczych na Wyspie kursy swej metody dla wychowawczyń i nauczycielek. — Grupa polska zaznaczyła także swój czynny udział w dyskusjach Kongresu.

Jak wiadomo tematem Kongresu była „Rola inteligenta katolickiego w dziele Odkupienia świata“. Prace Kongresu zamykały się w 6 sesjach plenarnych oraz około 30 posiedzeniach grup dyskusyjnych, w czasie których rozpracowywano i dyskutowano problemy sesyj plenarnych. Każdy dzień obrad zaczynał się Mszą św.; Kazania, wygłaszane przez najwybitniejszych kaznodziejów, były dopełnieniem a równocześnie podstawą dogmatyczną dalszych obrad.

W program Kongresu wchodziło dość dużo rozrywek kulturalnych. Uczestnicy mieli możność poznać piękno Amsterdamu i Holandii; na zwiedzenie kraju autokarami był poświęcony w całości jeden dzień. W ramach przyjęcia, wydanego przez protektora Kongresu księcia Bernarda, zwiedzono bardzo bogate Rijksmuseum. „Lekkiego“ programu Kongresu dopełniły ponadto przedstawienie operowe, seans filmowy i zabawa w katolickim domu studenckim.

Niezmiernie ważną rzeczą były kontakty osobiste około 1300 przedstawicieli 50 narodów, biorących udział w pracach Kongresu. Duch wspólnoty przezwyciężał trudności językowe, znajomości nawiązywały się łatwo w przemiłej atmosferze, rodzącej się na podłożu tej samej podstawy światopoglądowej.

Wypada wyrazić uznanie dla holenderskiego komitetu organizacyjnego za wspaniałe przygotowanie wszystkiego tak pod względem rzeczowym jak i technicznym. Wystarczy powiedzieć, oprócz tego, o czym już była mowa, że wychodziło nawet osobne pismo z okazji Kongresu z materiałami francuskimi i angielskimi, staraniem trzech katolickich wydawnictw holenderskich. W redakcji było także dwoje Veritasowców.

Zanim w ŻYCIU ukażą się niektóre materiały Kongresu i bardziej zasadnicze omówienie, poprzestajemy dziś na tym pobieżnym sprawozdaniu i umieszczeniu tłumaczenia listu Ojca św., streszczenia końcowego referatu prof. uniwersytetu w Dijon Jean Guitton i rezolucjach Kongresu.

Red.

„Bądźcie wszędzie obecni w samym ogniu tej walki na umysły”

ZRADOŚCIĄ zwracamy się do was, drodzy Synowie i Córki, którzyście się zgromadzili pod przewodnictwem kardynała Utrechtu w starożytnym Amsterdamie na XXI Światowym Kongresie Pax Romana. A Naszym pierwszym słowem będzie wezwanie obfitości duchowych darów światła i mocy dla prac, które rozpoczynacie!

Zaiste, wasz tytuł studentów i intelektualistów katolickich obciążony jest dzisiaj odpowiedzialnością jak rzadko w historii. Dlatego to w tej pokojowej walce w obronie prawdy i w promieniowaniu prawdą, wzywamy was słowami Apostoła byście się trzymali ,,mocno w tym samym duchu, walcząc w zgodzie i sercem jednomyślnym dla wiary w Ewangelię i nie pozwolili w niczym zastraszyć się przeciwnikom''. Gdyby to było w ogóle potrzebne, program waszych różnorodnych zebrań byłby Nam dowodem, że nie uchylacie się od problemów, które narzucają się myśli nowoczesnej, a w szczególności od tych, które ciążą myślicielom chrześcijańskim. Gratuiujemy wam przeto i niechaj życzenia Wspólnego Ojca będą wam rękojmią braterskiego i owocnego trudu.

W jedności waszego dwustopniowego Ruchu Międzynarodowego jesteście w Naszych oczach symbolem nie tylko różnorodności zawodów humanistycznych i matematyczno przyrodniczych, pomiędzy które podzielony jest teren działalności intelektualnej, ale również symbolem starodawnego bogactwa tradycji, właściwej krajom, z których pochodzicie. Co więcej, wasza obecność świadczy o cierpliwych wysiłkach tylu kapłanów i świeckich, którzy w każdym mieście, przy każdym uniwersytecie powołali owe grupy Akcji Katolickiej; żywotność tych grup jest warunkiem i gwarancją wartości waszego zgromadzenia. To też pozdrawiając Kongres Pax Romana widzimy przy was jakby przekrój ogromny rzeszy studentów i intelektualistów całego świata. Zarówno im jak i wam jako naglące żądanie przykazujemy te dwa obowiązki: udział w myśli współczesnej i służbę Kościołowi.

Tak, bądźcie wszędzie obecni w samym ogniu tej walki na umysły, w godzinie, w której inteligencja ludzka wysila się, by spojrzeć w twarz problemom człowieka i natury w rozmiarach nowych, w jakich się rysują na przyszłość. Nikt, bez wątpienia, nie zamyka oczu na rafy, jakie czyhają dziś na umysł ludzki przez sam fakt rozległości podniesionych zagadnień. — A jednak czyż synowie Kościoła mogliby zrzec się poszukiwania i krytycznych rozważań, gdy właśnie niewłaściwe zastosowania nauki i złudzenia relatywizmu filozoficznego zachwiały w kruchych i niespokojnych umysłach najbardziej fundamentalnymi zasadami i najistotniejszymi wartościami?.

Niechaj wasza obecność na tej arenie daje — przeciwnie — świadectwo stałości i rozwagi. Postęp nauki sam w sobie nie powinien zbijać z tropu wierzącego, który raczej nim się posługuje i w każdym odkryciu wita wspaniały przejaw mądrości i wielkości Stwórcy. Ale w obliczu uwodzicielstwa nowych systemów bardziej niż kiedykolwiek jest konieczne, dla samej przyszłości umysłu, zapewnienie podstawy zdrowej filozofii i afirmowanie transcendencji prawdy. Poza nią bowiem rozum ludzki może tylko obłąkać się całkowicie w niestałości, jeśli sam nie wzniesie się do najwyższej zasady, gardząc suwerennymi prawami Boga.

Niechaj wasza obecność będzie również świadactwem miłości i zjednoczenia: niewątpliwie, rozległość poznania współczesnego wymaga odtąd, na samym planie wiedzy technicznej, współpracy — niestety zbyt często paraliżowanej motywami i względami, którym obca jest troska o prawdę. Ale tym bardziej pilność problemów ludzkich, postawionych przed naszym pokoleniem wzywa, wszystkie umysły prawe i szczere do wspólnoty wysiłków w duchu wzajemnego zrozumienia: studenci różnych krajów, intelektualiści katoliccy wszelkich zawodów — mnóżcie wśród siebie i wokół siebie owocne wymiany i pokojowe kontakty!

Taka akcja i takie świadectwa są już ze strony katolików cenionych za ich kompetencję zaprawdę autentyczną służbą Kościołowi.

Lecz tę służbę wypełnicie jeszcze doskonalej w ramach swego zawodu dodając do wyprącowania myśli chrześcijańskiej niezbędne dopełnienie doświadczenia i kultury. Dziś teologowie, by zapewnić swym pracom podstawy udowodnionych nauk świeckich, powinni móc liczyć na Naszych synów — uczonych lub techników, filozofów lub prawników, socjologów lub lekarzy. Oto wasza misja uprzywilejowana w łonie Kościoła jako intelektualistów.

Dlatego spełnicie tę służbę w poczuciu swej odpowiedzialności, ale także sercem synowskim i w ufnej uległości. Nauka, jakiej wam Kościół udziela, wskazówki, które wam daje, roztropność, którą wam niekiedy przykazuje, są dla waszych trudów tyleż źródłem obfitowania, co gwarancjami bezpieczeństwa i zapewnieniem prawdziwej wolności. Życzymy Sobie z całego serca, abyście wykonując trud swego zawodu odkrywali każdego dnia coraz więcej z jakim szacunkiem i czujnością Kościół—jak Matka — podtrzymuje wasze wysiłki w tych trudnych czasach w jakich żyjecie.

Pod tymi warunkami, studenci i intelektualiści katoliccy, będziecie brać udział według swego właściwego powołania w dziele Odkupienia, w świecie, który rodzi się na naszych oczach. Współpraca z tym dziełem zbawienia — co uczyniliście głównym tematem swego kongresu — czyż nie wymaga zaprawdę od was, abyście wniknęli w samo serce współczesnego wysiłku intelektualnego świata, na obraz Chrystusa, podobnego nam we wszystkim — z wyjątkiem grzechu? I czyż nie wymaga również, abyście nieśli, tak płodną dla umysłów, zbawczą siłę tego Chrystusa, jedynego Odkupiciela, którego życia udziela nam Kościół?

Prowadźcie więc swe prace, ożywieni tym samym duchem, silni tą samą nadzieją, bezpieczni w ufności, którą wam dają Kościół i jego Głowa. A jako rękojmię Naszej Ojcowskiej łaskawości i naszych życzeń, udzielamy wam szczodrym sercem obfitego Błogosławieństwa Apostolskiego, źródła łask spływających obficie na was i prace wasze.

PIUS XII PP.

W Watykanie, 6 sierpnia 1950.

Obowiązki inteligenta katolickiego

KOŃCOWY referat Kongresu, wygłoszony przez prof. Jean Guitton, miał na celu podsumowanie wyniku przemyśleń wszystkich innych referatów i ważniejszych głosów dyskusji. Miał na celu znalezienie syntezy. Za natchnieniem św. Pawła prof. Guitton widzi tę syntezę w skali całego świata nie w haśle, nie w sloganach, nie w idei ani ideach, lecz w Osobie, mianowicie w Chrystusie. W oczach wiary bowiem Chrystus zbiera w Sobie to wszystko, co na tym świecie ze względu na naszą cząstkowość jest rozłączone, skrócone, niepełne. W Nim czyny i myśli każdego człowieka i wszystkich ludzi znajdują wyraz najpełniejszy syntezę najbardziej harmonijną.

Jeśli jednak ten pogląd wiary ma zostać przyjęty przez człowieka nowoczesnego, trzeba mu dać podstawę pozytywną. Wykazuje więc referent, że poza tym odcinkiem historii, na który Chrystus oddziaływał, nie byłyby się zachowały wspólne pojęcia, na których opiera się kultura ludzka. Podkreślił szczególnie dwa przykłady: miłość mężczyzny dla kobiety; znaczenie historii. Podobnie można wskazać te wszystkie pojęcia, z których jesteśmy najbardziej dumni: wolność, osoba, istnienie. Logicznie rzecz biorąc, sam rozum ludzki, na mocy własnych praw, powinien był te pojęcia wynaleźć i oczyścić, przemieniając je na siły życiowe i kierownicze. W rzeczywistości jednak była tu konieczna pomoc Boska, jak to niedawno Ojciec św. przypomniał w encyklice „Humani generis“.

W ten sposób dochodzimy do myśli, że Chrystus jest „kamieniem węgielnym“. Należy jednak ze szczególnym naciskiem zaznaczyć, że Jego syntetyzujące działanie jak najgłębiej szanuje wszystkie byty w całej odrębności ich natury. Jego działanie daje każdemu właściwe miejsce i każdej jednostce umożliwia, by jak najpełniej była sobą. To działanie Chrystusa pomaga państwom na przykład, aby będąc w pełni państwami, nie przybierały i nie przypisywały sobie roli Kościoła. Pomaga narodom, by poznawały się w swej specyficznej naturze, w celu spełnienia właściwej misji ciążącej na każdym z nich. W przeciwieństwie do Marxa, Chrystus nie wyobcowuje, nie odrzuca; On utwierdza i potwierdza w istnieniu, a działa najczęściej w sposób dyskretny, niewidzialnie, przez czynność a zarazem fakt obecności i głębi.

Wynikają stąd pewne obowiązki dla katolickiego intelektualisty: Musi on, na swój sposób, naślado-

wać syntetyzującą, całkującą działalność Chrystusa. W szczególności musi się rozróżnić złe skutki analizy — która rozłącza, rozdziela — aby dostrzec i pojąć jednoczące działanie Stwórcy na różnych polach natury. Na tym właśnie polega ludzka zdolność, by nawet w dyskusjach i sporach móc zastosować słowo Lacordaire'a: „Nie chodzi o przekonanie przeciwnika o błędzie, ale o połączeniu się z nim w wyższej prawdzie".

To — jeśli chodzi o nadprzyrodzony porządek Odkupienia, a jak wiadomo — naczelny temat Kongresu brzmiał: Udział i rola inteligenta katolickiego w Odkupieniu świata. Lecz należy do natury dzieła Odkupienia także i to, że prowadzi nas na płaszczyznę grzechu, cierpienia. To jest ta wielka różnica między filozofem, który jest tylko filozofem, a pomiędzy filozofem chrześcijańskim. „Tylko" filozof albo zaniedbuje rewoltujący aspekt losu i warunków człowieka, albo też, przeciwnie, kładzie na nie nacisk tak jednostronny, że dochodzi do stanu rozpaczy jak egzystencjalizm. Jak powiedział H. Bergson pod koniec życia: zdala od Tego, „Który wziął na siebie wszystkie cierpienia i wszystkie grzechy ludzkości" jakże moglibyśmy bez rozpaczy przyjąć swój los ludzki?

A to otwiera nową perspektywę dla intelektualisty katolickiego. Musi on zrozumieć syntetyzującą wartość cierpienia, zrodzonego z miłości, która jest prawdziwą dialektyką — jednoczącą i odradzającą.

Budowa i odnowienie, oto dwa aspekty dzieła Odkupienia, jakie się rysują przed naszym umysłem. A dzieło to światu jest potrzebniejsze w roku 1950 bardziej, niż kiedykolwiek w historii. Tworzy się człowiek uniwersalny, w tym sensie mianowicie, że ludzkość wreszcie zbiera się razem w jedności i solidarności. Jedyną kwestią jest, czy owe końcowe zjednoczenie, które ma z wszystkich narodów uczynić jedną ludzkość, dokona się za pomocą wojny totalnej czy też totalnej syntezy.

Tutaj wiara daje chrześcijaninowi nadzieję. Jeśli wierzy, że Chrystus jest pochodnią i kamieniem węgielnym, będzie modlił się z całą gorliwością, aby unia ludzkości dokonała się w pokoju i przez Jego milczące działanie. Misją intelektualisty katolickiego jest dyskretnie współpracować z wszystkimi rozumnymi i szczerymi wysiłkami, dokonywanymi gdziekolwiek na świecie i nieść innym tę siłę jednoczącą, którą nosi sam w sobie, choćby nie wiedzieć jak był niegodnym.

Rezolucje Kongresowe

Rezolucja ogólna

ZGROMADZENI w Amsterdamie w Roku Świętym w chęci współdziałania w dziele Odkupienia, intelektualiści i studenci katoliccy 50 krajów, na swym 21-ym Kongresie Światowym

W obliczu nieładu, na który cierpi świat,

Ale silni miłością nieskończoną Boga,

Skupieni wokół Najwyższego Pasterza, świadomi posłannictwa, które raczył dla nich zatwierdzić w swym Orędziu do Kongresu i posłuszni wskazaniom wyrażonym w najnowszej Encyklice **„Humani generis"**,

Deklarują uroczyście swoją solidarność w ciężkich troskach udręczonej ludzkości,

Wzywają swych braci w Chrystusie do jak najpełniejszego udziału w budowie lepszego świata,

i zobowiązują się

1. — poświęcić się bezinteresownemu poszukiwaniu prawdy,
2. — bronić wartości duchowych, zagrożonych przez materializm,
3. — wzmóc wkład myśli chrześcijańskiej we współczesną kulturę,
4. — doskonalić swoją wiedzę praktyczną, by być zdolnym do ponoszenia pełnej odpowiedzialności przy sprawowaniu swego zawodu,
5. — wprowadzać ład chrześcijański w dziedzinę polityczną, ekonomiczną i społeczną.

Zapraszają intelektualistów wszelkiej cywilizacji, bez względu na rasę i wierzenia religijne, do wspólnej pracy przy budowaniu trwałego pokoju w porządku społecznym i międzynarodowym.

Współpraca z Pax Romana

PRZEDSTAWICIELE 42 federacyj intelektualistów katolickich i 75 federacyj studentów katolickich, zgromadzeni w Amsterdamie na pierwszym wspólnym Kongresie Światowym, potwierdzają swoją przynależność do Międzynarodowego Ruchu Intelektualistów Katolickich i do Międzynarodowego Ruchu Studentów Katolickich pod znakiem PAX ROMANA.

Świadcząc o swej przynależności do Kościoła i wierności duchowi Pax Romana, przyjmując obowiązki, które z tego wypływają.

Po bratersku zjednoczeni w obu Ruchach, przyrzekają popierać i brać czynny udział w ich pracach oraz rozpowszechniać ich wyniki. Ze względu na to, że rozwój działalności Pax Romana na polu umysłowym wymaga środków technicznych i finansowych, będą się starali hojnie przyczyniać do wspomagania materialnego obu Ruchów,

Zdając sobie sprawę z potrzeby bardziej rozwiniętej wymiany myśli międzynarodowej w dziedzinie zawodowej, postanawiają popierać zjazdy intelektualistów poszczególnych gałęzi nauk i zawodów, aby mogli rozważać zagadnienia dotyczące ich zawodów w świetle zasad chrześcijańskich.

W sprawie intelektualistów uchodźców

CZŁONKOWIE Międzynarodowego Ruchu Intelektualistów Katolickich i Międzynarodowego Ruchu Studentów Katolickich, zgromadzeni z okazji 21-go Kongresu Światowego Pax Romana, kierują do całego świata chrześcijańskiego odezwę w sprawie intelektualistów przebywających na uchodźstwie i osób wysiedlonych, które na skutek prześladowań religijnych, politycznych, lub rasowych, są skazane na życie zdala od swej ojczyzny.

Przedkładając ten apel światu chrześcijańskiemu do przyjęcia mają nadzieję, że zrozumie nieszczęście tych prześladowanych, uświadomi sobie wartości cywilizacyjne, których są dowodem i postara się o rozwiązanie problemu ich tragicznej sytuacji.

Profesorowie, urzędnicy, dyplomaci, lekarze, artyści, prawnicy, studenci, przedstawiciele wszystkich zawodów wolnych, ulegając przemocy partykularyzmów nacjonalistycznych, mają na ziemi wygnania zamkniętą drogę do tych zawodów, które już uprawiali w swoim kraju. Aby mieć z czego żyć, zmuszeni są do pracy, do jakiej nie są przygotowani i która ich przedwcześnie wyniszcza. Zbyt często ich koledzy z kraju gospodarzy pozostają ślepymi na ich cierpienia przeszłe, niedolę obecną i nieświadomi bogactw, które ci wygnańcy noszą w sobie.

Wierni miłości Chrystusowej, katolicy narodów wolnych zechcą przyczynić się do pomocy duchowej i materialnej, która należy ludziom z wyższym wykształceniem przebywającym na wygnaniu. Pomagać im będą modlitwą i poświęceniem. Oby też mogli, otwierając swoje szeregi dla tych braci uciśnionych, przyjąć wraz z nimi i ten dorobek cywilizacyjny, którego są dziedzictwem i pozwolić na ziemiach wolnych na pełny rozwój ich ludzkich wartości.

Współpraca narodowa

ZGROMADZENI w Amsterdamie intelektualiści i studenci katoliccy 50 krajów, przy okazji 21-go Kongresu światowego Pax Romana konstatują z zadowoleniem, że Międzynarodowy Ruch Intelektualistów Katolickich i Międzynarodowy Ruch Studentów Katolickich Pax Romana, bezpośrednio lub za pośrednictwem federacyj narodowych współpracują coraz to czynniej z inicjatywą oficjalną i prywatną mającą na celu większe rozumienie się wzajemne między ludami oraz zakładanie trwałych fundamentów pod sprawiedliwy pokój.

W ten sposób postępując oba Ruchy spełniają swoje zadanie wobec Organizacji Narodów Zjednoczonych i jej agend specjalizowanych, stosownie do statutu konsultatywnego, który posiadają przy Radzie Ekonomicznej i Społecznej i przy UNESCO.

Pragną wyrazić swą wdzięczność Sekretariatowi Generalnemu Narodów Zjednoczonych i Dyrektorowi Generalnemu UNESCO za zainteresowanie, okazane pracom Pax Romana przez delegowanie na 21 Kongres swoich osobistych przedstawicieli, których obecność i przemówienia tak harmonijnie zgadzały się z kierunkiem ideowym obu Ruchów.

Korzystają z tej sposobności, by raz jeszcze zapewnić o swym szczerym pragnieniu i stanowczej woli wzięcia udziału, w miarę sił i w najściślejszej współpracy z innymi organizacjami międzynarodowymi katolickimi, w dziele pokoju i obrony wartości ludzkich, będących głównym celem prac Narodów Zjednoczonych. Najnowsze postanowienia Narodów Zjednoczonych — zasługujące na powszechny szacunek — by przeciwstawić się stanowczo, nawet z narażeniem się na największe ofiary pogwałceniu porządku międzynarodowego przez agresję, pozwalają spodziewać się, że Narody Zjednoczone przyjmują tę samą postawę wszędzie, gdzie porządek międzynarodowy i nienaruszalne prawa osoby ludzkiej zostaną zagrożone.

Usilnie nalegają na niezwłoczne przyprowadzenie do skutku i konkretnych wyników tych apelów, które, rok temu, oba Ruchy wystosowały do Prezydenta IV Zjazdu Narodów Zjednoczonych, żądając skutecznej akcji przeciw oczywistym pogwałceniom zasad, wyrażonych w Deklaracji powszechnej praw człowieka, popełnionym w niektórych krajach w ciągu tych lat ostatnich. Uznają też te zasady, które zostały wyrażone w projekcie Konwencji odnośnie zapobiegania zbrodni ludobójstwa.

Potwierdzają swoje głębokie przekonanie, że tylko szczery powrót do tych podstawowych i niewzruszonych wartości duchowych, które uznają prymat prawa Bożego, może zapewnić światu pokój prawdziwy, oparty na sprawiedliwości i miłości.

TYMON TERLECKI

GABRIEL MARCEL

O EGZYSTENCJALIŹMIE mówi się wciąż jeszcze i dużo i chętnie. Rzadko jednak kojarzy się go z określeniem: chrześcijański. Dla przeciętnego zjadacza chleba i konsumenta kultury słowo „egzystencjalizm" oznacza myśl i twórczość J. P. Sartre'a. A sartrowska postać egzystencjalizmu jest z gruntu antychrześcijańska. Odrzuca wszystkie założenia i aspiracje chrześcijaństwa, więcej: przeczy istnieniu Boga. W popularnym komentarzu do swojej doktryny Sartre sam stwierdził, że zmierza ona do wyprowadzenia wszystkich wniosków z programowego stanowiska ateistycznego (une position athée cohérente).

Ale sartryzm to nie jest cały egzystencjalizm. Nadto egzystencjalizm niekoniecznie prowadzi do zaprzeczenia chrześcijańskiego poglądu na świat. Przeoczenie tych dwu prawd wywodzi się z zamglenia perspektywy historycznej i głuszenia jednych zjawisk przez inne. Historycznie rzecz biorąc, egzystencjalizm jest rodowodu chrześcijańskiego, można by nawet powiedzieć: jest postawą jedną z najbardziej typowych dla chrześcijańskiego odczuwania i rozumienia życia. W naszej epoce ateistyczna, antychrześcijańska odmiana egzystencjalizmu nie reprezentuje całego prądu, mimo że w świadomości zbiorowej zdołała zająć pierwsze miejsce.

Niniejsze rozważania pragną przywrócić równowagę w istniejącym układzie rzeczy, ukazać drugi biegun, drugi ośrodek polaryzacji. Taki zabieg wydaje się potrzebny z wielu względów. Stworzy pełniejszy obraz czasu, w którym żyjemy. Pozwoli może wyznaczyć właściwe stanowisko egzystencjalizmowi w obu aktualnych postaciach.

SPOJRZENIE WSTECZ

Dla zamierzonego celu nie bez pożytku będzie odtworzyć perspektywę głębną zjawiska.

Julien Benda, nieprzejednany „klerk", skrajny racjonalista i programowy przeciwnik egzystencjalizmu, kilka lat temu próbował ustalić jego parantelę. Cofnął się aż — do sofistów greckich. Naprawdę nie ma tu jednak mowy o stosunku pokrewieństwa; z trudem można by się doszukać rysów wspólnych, ale dość przypadkowych i nieistotnych. Podobnie należy traktować pasowanie św. Augustyna na pierwszego egzystencjalistę.

Z większą słusznością za rzeczywistych przodków nowoczesnej filozofii egzystencjalnej uważa się dwu ludzi, w niejednym do siebie podobnych mimo dystansu dwu stuleci, który rozdziela ich samotne i patetyczne żywoty — Pascala i Kierkegaarda. Ale i z Pascalem sprawa nie jest bezsporna. Wrogowie egzystencjalizmu, jak Benda, uważają tego fizyka, matematyka i myśliciela religijnego za antyegzystencjalistę, zwolennicy — za egzystencjalistę. Nie ma takiego podziału opinii co do Kierkegaarda i jemu należy przyznać bezsporne ojcostwo filozofii egzystencjalnej.

Na ukształtowaniu osobowości tego Duńczyka zaważyło zetknięcie się z heglizmem. Kierkegaard znał go tylko pośrednio, odwiedził Berlin po raz pierwszy w r.1841, dziesięć lat po śmierci Hegla. Ale jego reakcja była bliźniaczo podobna do kilka lat wcześniejszego odruchu Mickiewicza. Niesłychanie trudna, złożona filozofia „absolutnej idei" odepchnęła Kierkegaarda tak gwałtownie, że stał się zaprzysięgłym antyheglistą.

W pismach na pół filozoficznych, na pół poetyckich, tętniących pulsem osobistego przeżycia duński Dawid uderzał w niemieckiego Goliata za ślepotę wobec pełnej aktualności życia, wobec konkretnego istnienia, przeżywanego, doświadczanego całym sobą. Namiętnie przeciwstawiał się utożsamieniu bytu i myśli w duchowej „idei", w „esencji", samourzeczywistniającej się z niezachwianą koniecznością logiczną. Od Kierkegaarda wywodzi się podstawowe założenie egzystencjalizmu: egzystencja wyprzedza esencję. Ta ulubiona formuła Sartre'a znaczy, że fakt życia wyprzedza fakt myślenia o życiu, ideę o życiu. Wpierw żyjemy, potem myślimy.

Wychodząc z tego punktu, Kierkegaard kładł nacisk na istnienie osobiste, na jego intensywność i prawdę. Zamiast oderwanej spekulacji o świecie żądał od człowieka indywidualnej odpowiedzialności za świat. Uważał, że tylko życie, istnienie dotykalne, uchwytne, jest właściwym, godnym przedmiotem dociekania. On pierwszy wskazał drogę do konkretnej „sytuacji", niejako do środka bytu t. zn. do świadomości zmagającej się ze samą sobą i ze światem. Zaczął rozpatrywać zagadnienia nie ze stanowiska losu ludzkiego, nie pod kątem ich powszechności, ale jako przypadki pojedyncze, indywidualne. Obchodził go nie człowiek „w ogóle", o którym mówią logicy, ani człowiek - przedmiot, którym manewrują technicy, ale człowiek konkretny, przeżywający swoje własne i jedyne życie wewnętrzne. To spojrzenie przekazał Kierkegaard wszystkim egzystencjalistom.

Jego liczne, bardzo dziwne, nieraz dziwaczne, często urzekające dzieła, jak i prowadzony niemal przez całe życie dziennik osobisty zawierają dużo niebywale wnikliwych rozbiorów. Najważniejsza wśród nich jest analiza naszego zasadniczego stosunku do bytu, do istnienia, do świata. Kierkegaard wyraził ten stosunek w formule „rozpacz aż do śmierci".

Wszystkim odgałęzieniom egzystencjalizmu wspólne jest tragiczne odczucie życia jako bezładu, jako czegoś sprzecznego i niezrozumiałego. W rozmaitych odcieniach, ujęciach, stopniach natężenia występuje ono u każdego egzystencjalisty. Życie stanowi dla niego najwyższą wartość, a jednocześnie, z takich czy innych względów, nie zaspokaja jego pragnień i dążeń.

Kierkegaard widział jedyny ratunek od rozpaczy w wierze religijnej. Modlący się człowiek był dla niego jakby soczewką, skupiającą rozbite promienie światła.

NA ROZSTAJU

„Filozof prywatny", „Hiob filozofujący", jak sam siebie nazywał, nie osiągnął za życia ani części tego rozgłosu, co wyszydzony przez niego „professor publicus ordinarius". Ale ich światy myślowe spotkał los dosyć podobny. Doskonale, niby kryształ, zamknięty system, który sam Hegel był skłonny uważać za prawdę ostateczną i kierkegaardowska notacja doznań wewnętrznych, dysharmoniczna, pulsująca boleśnie jak samo życie —rozszczepiły się na dwa nieprzejednanie wrogie nastawienia. Heglizm podzielił się na lewicę i prawicę: lewica heglowska wydała ateizm Feuerbacha i skrajny materializm Marxa. Myśl Kierkegaarda poszła również w dwu sprzecznych kierunkach — chrześcijańskim i antychrześcijańskim.

Nietzsche, a w wyższym jeszcze stopniu współcześni filozofowie niemieccy, twórca „fenomenologii" Edmund Husserl i uczeń Husserla Martin Heidegger są przedstawicielami „lewicy egzystencjalnej". Teolog kalwiński, Szwajcar Karl Barth, Niemcy Max Scheler i Karl Jaspers, Rosjanie Mikołaj Bierdiajew i Lew Szestow, Francuzi Maurice Blondel i Gabriel Marcel tworzą grupę różnolitą, składającą się z bardzo odmiennych osobowości; określimy ją roboczą nazwą „prawicy egzystencjalnej". Można by do niej zaliczyć także Maritaina jako autora „Court traité de l'existence et de l'existant" z r. 1947, w którym usiłował dowieść, że św. Tomasz z Akwinu był egzystencjalistą i że jego egzystencjalizm stanowi „jedyny egzystencjalizm autentyczny."

Jean Paul Sartre słuchał przez rok Husserla i jest bezpośrednim kontynuatorem Heideggera. Jego filozofia ma niewiele znamion oryginalności. Główne dzieło teoretyczne „L'être et le néant" trudno dostępne i rzadko czytane, przypomina „buchy" niemieckie. Liczy z górą 700 stron i często nie ustępuje w zawiłości, przyciężkości stylu Heideggerowi, jego słynnemu powiedzeniu: „Das Nichts nichtet" (przetłumaczono to na francuski „Le néant néantit", ale po polsku oddać tego właściwie nie podobna).

Sartryzm zawdzięcza swój olbrzymi oddźwięk temperamentowi i talentowi pisarskiemu Sartre'a, jego dziełom literackim, nie filozoficznym. Na zawrotnej karierze tego ruchu zaważyła koniunktura powojenna, straszliwa zgaga pozostawiona w Europie przez lata brutalnej okupacji hitlerowskiej, przez komory gazowe i „kacety". Niemałą rolę gra w tym rzutkość komercjalna Sartre'a, krzykliwość całego obozu, który nie gardzi reklamą, docenia rolę propagandy i siłę przyciągającą skandalu.

W przeciwnym obozie egzystencjalnym najwybitniejszą postacią jest Marcel. To właśnie Sartre, zachowując dla siebie termin „egzystencjalizm", zaproponował dla myśli marcelowskiej przymiotnik odróżniający : „chrześcijański". Marcel, mimo że jest katolikiem i ma świadomość organicznego związania swojej filozofii z chrześcijaństwem, zgodził się na ten termin z pewnym ociąganiem. Uważa bowiem, że jego krąg myślowy nie jest zamknięty dla ludzi należących do innych religii i kultur.

Marcel dopiero w ostatnich latach zaczął się wynurzać z głębokiego cienia. Punt zwrotny stanowiło przyznanie mu w r. 1948 „Grand Prix de Littérature" Akademii Francuskiej. W tym samym roku ukazał się angielski przekład jego trzech szkiców p. t. „The Philosophy of Existence". Po wojnie także w Niemczech zaznaczyło się się zainteresowanie jego dziełem.

Ta sytuacja wydaje się tym dziwniejsza i tym bardziej niesprawiedliwa, że Marcel jest najstarszy wiekiem wśród żyjących egzystencjalistów. Twórczość Marcela wyprzedziła na lata nie tylko Sartre'a, ale jego niemieckich mistrzów. Stanowi ona najwcześniejsze i jedno z najbardziej oryginalnych sformułowań współczesnej filozofii egzystencjalnej. Ale sam Marcel pod wielu względami stanowi skrajne przeciwieństwo Sartre'a: jest człowiekiem wewnętrznym, nie lubi rynku i rozgłosu.

Jego twórczość bardzo wielka co do rozmiarów, bardzo szczególna co do charakteru, stanowi dzisiaj najpełniejsze wcielenie egzystencjalizmu linii chrześcijańskiej. Ogarnięcie tej twórczości pozwoli ustalić jeden, jak się wydaje, istotny punkt na intelektualnej mapie naszego czasu.

RYSOPIS DUCHOWY

Marcel jest człowiekiem przeszło sześćdziesięcioletnim (urodził się w r. 1889 w Paryżu). Przedstawia raczej rzadki typ Francuza o szerokich widnokręgach, nie podlega złudzeniu, że kultura francuska jest całą kulturą europejską i zachodnią. Podróżował dużo jako dziecko (jego ojciec był przez rok posłem w Szwecji) i jako człowiek dojrzały. Zna języki obce. W tej chwili, wśród wielu zajęć, kieruje u Plona serią przekładów z literatur cudzoziemskich. Nazywa się ona bardzo po marcelowsku „Feux croisés" — skrzyżowane ognie.

W czwartym roku życia stracił matkę, w ósmym zaczął próbować sił w dramacie. Prawie jednocześnie obudziła się w nim skłonność do refleksji, do medytacji filozoficznej. Mając osiemnaście lat napisał rozprawę o ideach Coleridge'a i ich związku z filozofią Schellinga; ta praca o angielskim poecie i niemieckim myślicielu doby romantycznej ukazuje rozległość jego zainteresowań. Jako dwudziestoletni człowiek uzyskał stopień doktorski.

Niedługo potem zaczęła się właściwa droga, własna przygoda Marcela. W roku otwierającym pierwszą wojnę światową wydał dwa dramaty pod wspólnym tytułem „Le seuil invisible". W tym samym czasie zaczął gromadzić noty do dzieła filozoficznego. Nigdy go nie napisał, zapiski zaś obejmujące lata 1914-23 i stanowiące spory tom ukazały się w r. 1927 p. t. „Journal métaphysique" (zawiera on na końcu zasadniczą rozprawę „Existence et objectivité", ogłoszoną w „Revue de Métaphysique et de Morale" w r. 1925). W tym samym czasie co „Journal" ukazało się główne dzieło Heideggera „Sein und Zeit". „Filozofia" Jaspersa wyszła na światło dopiero w pięć lat potem (1932) a drugie jego dzieło „Vernunft und Existenz" jeszcze później (1935).

Te daty ustalają pierwszeństwo Marcela w stosunku do obu współczesnych formacji egzystencjalizmu: chrześcijańskiej i antychrześcijańskiej. Sartre swoją podstwową pracę filozoficzną „L'être et le néant" ogłosił w r. 1943, dwa pierwsze znaczące utwory literackie tuż przed wojną: „La nausée" w r. 1938, „Le mur" w r. 1939, ale i one zostały dostrzeżone i docenione dopiero po wojnie.

Najważniejszym wydarzeniem biografii wewnętrznej Marcela jest — przyjęcie chrztu w r. 1929, w czterdziestym roku życia. Miał w tym pewien udział Mauriac, który z jakiejś, dość błahej, okazji zapytał go listownie: „Mais enfin pourquoi n'êtes-vous pas des nôtres?". Większy, choć odwrotny, udział miał w tym ojciec Marcela. Człowiek bardzo kulturalny, estetycznie wrażliwy, wszechstronnie wykształcony, był klasycznym wcieleniem francuskiego wolnomyślicielstwa w stylu Anatola France'a. Trzymał jedynaka z dala od religii i w ten sposób, na przekór sobie samemu, pchnął go na drogę tęsknot i rozmyślań religijnych.

Działał tu także drugi ośrodek samotnego dzieciństwa: zmarła matka. W szczególny sposób istniała ona poza śmiercią w osobie siostry, która wychowywała Marcela i została drugą żoną jego ojca. Ta macocha, Żydówka z pochodzenia, była protestantką o głęboko pesymistycznym spojrzeniu na świat, natchnionym przez poezję Alfreda de Vigny i Ludwiki Ackermann. Sam Marcel mówi o niej, że „miała ostrą i jakby zupełnie niezachwianą świadomość nonsensu życia."

W tym polu magnetycznym urabiała się osobowość, zmierzająca w sposób powolny a nieuchronny do religii. Całe dzieło Marcela nabiera w tym świetle osobistego i dramatycznego charakteru, jest wyznaniem o sobie, o własnej przygodzie duchowej.

W obecnej chwili Marcel ma w dorobku ponad dwadzieścia sztuk ogłoszonych i kilka książek filozoficznych: „Etre et avoir" (1935), „Du refus à l'invocation" (1940), „Homo Viator, prolégomènes à une métaphysique de l'espérance" (1944). Istnieją także sztuki i noty filozoficzne dotąd nie wydane. Wiele mniejszych i większych prac Marcel rozproszył hojną i niedbałą ręką — co jest na ogół rzadkie we Francji — po rozmaitych czasopismach tak odległych od siebie, jak „Nouvelle Revue Française", uchodząca za organ Gide'a i dominikańska „Vie Intellectuelle". Wśród nich szczególnie godne uwagi są szkice stanowiące zarys oryginanej filozofii teatru.

DWIE TWARZE

Ta wielka twórczość uderza swoim dwoistym obliczem, dwoistym charakterem. Przez cały ciąg życia, od początku do dzisiaj, jest to jednocześnie działanie artysty i wysiłek poznawczy, praca dramatopisarza i praca filozofa. Zwraca uwagę, że idą one równolegle. Gdy w ciągu kilku lat poprzedzających nawrócenie Marcel zarzuca twórczość dramatyczną, ustaje również tak dla niego charakterystyczna notacja myśli, przerywa się dziennik doświadczeń wewnętrznych. Niemniej wymowne jest to, że jeden z jego dramatów „Le monde cassé" (1933) dopełnia medytacja filozoficzna „Positions et approches concrètes du mystère ontologique", licząca się do najważniejszych w jego twórczości; jeden z interpretatorów Marcela, de Corte mówi, że jej niektóre analizy dorównują kartom Platona i św. Augustyna.

Przy jakiejś okazji Marcel sam stwierdził, że jego twórczość dramatyczna i twórczość filozoficzna stanowią dwa stoki jednego wzniesienia. Gdzie indziej określił filozofię jako twórczość z istoty swojej poetycką, jakby wtórując poglądowi Bergsona o tożsamości metod artysty i filozofa. Toteż nie zawsze łatwo wykreślić u Marcela granicę między stanem lirycznym a refleksją filozoficzną, między wzruszeniem a myśleniem.

Ta dwoistość przypomina i Kierkegaarda i Nietzschego i Sartre'a. Wyraża ona przyrodzoną skłonność egzystencjalizmu. Benda ma, być może, rację twierdząc, że w ten sposób praktycznie dochodzi do głosu wola zastąpienia idei o życiu — samym życiem.

U Marcela zaostrza tę sprawę jeszcze jedna okoliczność. W ostatnim roku wyszło na jaw, że za młodu chciał być muzykiem, kształcił się muzycznie i nigdy nie zarzucił muzyki. Nieoczekiwanie dla siebie samego kilka lat temu — zaczął komponować. W twórczości dramatopisarskiej muzyka odgrywała i odgrywa istotną rolę (n.p. „Le Quatuor en fa-dièse", 1925), nie jako wtór, jako „ilustracja" czy „dekoracja" muzyczna, ale jako czynnik wewnętrznej budowy, jako motyw dramatyczny. We własnej ocenie Marcela zdolność twórcza w zakresie muzycznym przedstawia szczyt jego możliwości i szczyt możliwości wyrazu dla odczuć głębi bytu ludzkiego i perspektyw bytu ponadludzkiego. „Nasze głębokie ja, czyż to nie jest właśnie muzyka?" — zapytuje jedna z postaci scenicznych w „Quatuor".

Można by powiedzieć, że dzieło dramatyczne i dzieło filozoficzne Marcela wzajemnie się dopełniają, że oba zmierzają do wyższej, doskonalszej, pełniejszej jedności muzycznej. Patrząc na całe jego dokonanie, nieraz nie sposób oprzeć się sensacji, że rządzi nim jakiś rozwijający się konsekwentnie rytm duchowy, że stanowi ono wyraz muzyki życia wewnętrznego. Marcel jest przytomnym uczestnikiem stającej się rzeczywistości ale jednocześnie jest człowiekiem zasłuchanym w siebie, tłumaczącym na słowa i tony melodię własnego istnienia.

„MORSURE DU REEL"

To dwoiste, w istocie głęboko jednolite, dzieło należy traktować jako zwartą całość. Ale tu natrafia się na paradoks, co prawda tylko pozorny. Marcel odrzuca filozofię jako zespół idej związanych ze sobą, jako zamkniętą logiczną budowlę. To wyjaśnia, dlaczego pisma filozoficzne Marcela mają charakter raptularzy, rzutów, szkiców (drugą książkę „Etre et avoir" w znacznej mierze wypełnia dziennik z lat 1928-1933).

Odraza do „systemów" dzielona z Kierkegaardem, znalazła u niego wyraz w określeniu „encapsuler l'univers" — zamykać wszechświat w kapsułkę, w kształt samowolnie narzucony z zewnątrz, sztuczny i martwy. System stanowi metę, jakby ciągle przesuwaną dalej i dalej. Należy do niej dążyć, ale osiągnąć ją oznacza — śmierć, bezruch, utratę łączności z żywym, stającym się bytem. Sprawdzian prawdy stanowi dla Marcela bezwzględna szczerość przeżycia wewnętrznego a nie zwartość, schematyczna przejrzystość.

Filozofia Marcela jest przeciwieństwem postawy „scjentycznej", która rozszczepia byt na części i nie troszczy się o jego całość, nie ogarnia jego pełni. Dlatego Marcel jest przeciwnikiem empiryzmu Spencera „doktryny najbardziej klęskowej, najbardziej odczłowieczającej".

Filozofia Marcela jest także przeciwieństwem idealizmu spekulatywnego, który całość bytu usiłuje zawrzeć w pojęciach oderwanych. Jest to filozofia konkretności, nie abstrakcji. Za dokonanie filozoficzne uważa ona tylko to, na czym daje się rozpoznać „ukąszenie rzeczywistości (la morsure du réel)," tylko to, co nasyca „głód konkretu (l'appetit du concret)".

Filozofia Marcela to filozofia wprzęgnięta, wgryziona w istnienie, filozofia żytą, filozofia, którą się jednocześnie tworzy i praktykuje, filozofia doświadczenia wewnętrznego, przetwarzanego na poznanie. Jest to proces, nie schemat. Jest to szukanie prawdy a nie jej posiadanie. „Ten, kto filozofuje „hic et nunc" (tu i teraz) — mówi Marcel — jest niejako łupem rzeczywistości; nie przywyknie nigdy do faktu życia: życie jest nieodłączne od uczucia zdumienia".

Byt nie jest obrazem postawionym przed nami, ale żywiołem, który nas zewsząd otacza i wypełnia wszystko. Nie można mu się przyglądać z zewnątrz. Można go poznawać tylko od wewnątrz, przez doświadczenie, zgłębienie, przez proces nieustannego doświadczania, nieustannego zgłębiania. „Myśl nie może wyjść z egzystencji", nie może przekroczyć granic tego co istnieje. Nie ma żadnej możliwości, byśmy się znaleźli na zewnątrz bytu, byśmy z lotu ptaka czy z pokładu balonu mogli zdjąć plan tego co jest, przenieść zarys światła na pokratkowany papier albo określić go oderwanymi pojęciami.

Dzieło Marcela nie przywodzi obrazu architektury, łańcucha górskiego czy archipelagu. Przypomina ono raczej pracę odważnego, wytrwałego nurka, raz po raz zanurzającego się w głębię ,aby ją zgruntować. Jest to bliskie własnemu porównaniu Marcela z kimś, kto po omacku zapuszcza się w przepaści i podziemne pieczary, otwierając drogę tym, którzy nakreślą szczegółowe mapy i wytyczą już bezpieczne szlaki.

Ten ogólny rysopis twórcy i dzieła ukazuje trudności zbliżenia do tego żywego dramatu myśli. Trudność podwyższa jeszcze fakt, że jest to myśl niesłychanie wysubtelniona, wyostrzona, jak wzrok człowieka nawykłego do przebywania w mroku, do poruszania się w gęstwinie. Te trudności tłumaczą, że to co się tutaj znajdzie będzie tylko szkicem uproszczonym i pogrubionym.

Tymon Terlecki

WINCENTY KORAB-BRZOZOWSKI — Przełożył JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

STANCES

RAVISSEMENT

Le soleil sur la mer dessine
Un splendide oméga de feu.
Mon coeur n'est plus dans ma poitrine;
C'est l'heure ou va parler un Dieu,
Et tout se tait: eaux, bois, collines.

Rozpina słońce o zachodach
Na morzu purpurowy łuk.
Cisza. Zamiera w piersi oddech.
Umilkły góry, lasy, wody.
Słuchają: oto mówi Bóg.

LE TEMOIN

Le passé s'éteint dans le vague;
Le présent: flot qui fuit au loin;
L'avenir: reflet sur les vagues...
Tu ris? tu pleures? tu divagues?
Silence. Tu es le Témoin.

Wczoraj: zapadło w dno Lety;
Dziś: odpływa, odpływa ukradkiem;
No a jutra? Tak się zdaje, że nie te...
Cóż po płaczu? żartach? podnietach?
Milcz lepiej. Jesteś tu Świadkiem.

AU TOURNANT

De plus en plus sur le chemin
Mon ombre grandit et s'allonge;
La journée est à son déclin.
Aurai-je encore un lendemain?
Troublé, je m'arrête et je songe.

Coraz się dłuży i rozwleka
Cień mój po odmierzanej drodze.
A dnia ubywa. Nie daleka
Noc. Czy nowego dnia doczekam? —
Zamyślam się. I staję w trwodze.

INCOMPRIS

Nous serons un vague spectacle
Pour les vivants qui nous suivront.
Nous n'avons pas déçu l'oracle...
Mais verront-ils dans habitacle
Un Dieu triomphant de l'affront?

Obrócą oczy przerażone
Na widowisko z nas potomni.
Spełnienie wróżby czasów onych...
Ale czy dojrzą jak — wzgardzony
Bóg — tryumfował i ogromniał.

SIC TRANSIT...

Ma vie est le reflet lointain
D'une lumière
Qui s'est allumée un matin
Et qui, le soir venu, s'éteint
Dans le mystère.

Życie: światło nie własne,
Kryjome.
Pożyczona od świtów jasność,
Aby, wraz z wieczorem, zagasnąć
W Niewiadomem.

Nota tłumacza

Dwa następujące po sobie pokolenia rodziny Brzozowskich łączą na przestrzeni stulecia kilka światów naszej historii: politycznej i literatury. Ojciec, Karol Korab Brzozowski, poeta romantyk, miał lat 10 gdy wybuchło powstanie Listopadowe, oprowadzał w r. 1855 Mickiewicza po Konstantynopolu i zmarł na początku tego wieku. Syn, Wincenty, mało znany, jak i brat jego Stanisław, wybitny przedstawiciel „Młodej Polski", współczesny Wyspiańskiemu, Przybyszewskiemu i Tetmajerowi, przeżył okres odrodzonej niepodległości aby dokonać żywota w roku 1941 na łóżku szpitalnym w podbitej przez Niemców Warszawie. Niemało.

„Stances" Wincentego Korab-Brzozowskiego, pisane w języku francuskim i tu wraz z moim przekładem podane, powstały na rok czy dwa przed zgonem. Tworzył je człowiek stary, sterany, bezdomny, o chłodzie i głodzie, ale też i sięgający wzrokiem znacznie dalej, niż jego tragiczne otoczenie. Ocalały w liczbie 37, z tego na emigrację doszło tylko tych 5, zamieszczonych w krakowskim „Tygodniku Powszechnym".

Wydaje się, że z puścizny poetyckiej Brzozowskiego, skąpej zresztą, pozostaną jako „dzieło główne". Co więcej, że są, pod względem formy i treści, czymś co stoi nad najkrwawszym i najokrutniejszym, ale przecie — tylko epizodem dziejów.

J. D. K.

JANINA ROMAŃSKA

WSPOMNIENIE

MÓJ PRZYJACIEL KARO

DOKŁADNIE rok przed wybuchem wojny przyszli do mnie po raz pierwszy — obaj chmurni, nieufni, podejrzliwi: porucznik Kazimierz i Karo.

Porucznik szorsko dyktuje warunki: uczęszcza na wykłady, ale jako słuchacz nadzwyczajny. Robi tylko to, na co ma ochotę i niczego więcej robić nie będzie. Zmienia lektorki bardzo często, gdyż każda mu działa na nerwy. Przyszedł, by się ze mną zapoznać, ale prawdopodobnie więcej się nie pokaże. Braille'a zna; mogłabym pisać mu wykłady Braille'm, uczyć go niemieckiego i naturalnie czytać na głos, jak najwięcej. Tylko nigdy do niczego nie namawiać, nie narzucać opieki, nie udzielać zbędnych rad. Tego nie znosi.

Przyjmuję warunki. Patrzę spokojnie w biedne, ślepe oczy mego gościa, a później w oczy Kara. Karo wzroku ze mnie nie spuszcza. Siedzi tuż obok swego pana i śledzi bacznie każdy mój ruch, nawet wyraz mojej twarzy. Patrzy groźnie i wręcz ostrzega: „Spróbuj tylko zrobić krzywdę memu panu!" Nie przeraża mnie jednak ten olbrzymi pies Czerwonego Krzyża. Czuję, że dojdę z nim z czasem do porozumienia. Głaszczę go, przemawiam serdecznie, co przyjmuje zrazu z lodowatą grzecznością. Dopiero gdy porucznik zaczyna się ze mną żegnać, a ja stoję i trzymam jego futro, Karo jest zażenowany, wdzięczy się do mnie, macha ogonem i wyraźnie tłumaczy:

— Mój pan nie widzi, on nie wie, że pani trzyma futro. Nigdy by na to nie pozwolił.. Ośmielona tym przyjacielskim zachowaniem się Kara, ubieram porucznika, podaję mu laskę i kapelusz. Karo cały w pląsach, przechyleniach i błyskach oczu — wciąż dziękuje.

Atmosferę przyjaźni zakłócił nieoczekiwany dysonans — jak nagłe smagnięcie bicza. Krótkie, szarpliwe szczeknięcie psa ułamkiem sekundy wpadło w groźny charkot. Twarde pazury szarpnęły moje ramię, zęby już miały się wczepić w dłoń. Poprzez psi jazgot i mój okrzyk przebija się rozkaz pana Kazimierza:

— Karo! Stać!

Pies przywarował.

— Co pani chciała zrobić?

Tłumaczę spokojnie, jak niewinny był mój zamiar:

— Zauważyłam białą nitkę na kołnierzu futra i chciałam ją zdjąć.

Porucznik przeprasza i tłumaczy:

— To był ruch nieprzewidziany przez tresurę. Karo nie mógł wiedzieć, czy pani nie sięga na przykład do mego gardła, aby mnie zadusić. Tresura obejmuje cały szereg ruchów, jak podawanie okrycia niewidomemu itp., ale wszystkiego przewidzieć nie może.

Tak, popełniłam błąd, przepraszam ich obu i wyprowadzam aż na schody.

— Niepotrzebna kontrola — mówi wyniosły wzrok Kara — j a tu jestem, to wystarczy.

Spieszę jednak na balkon i patrzę, co będzie dalej.

Są już na ulicy. Stanęli na chodniku, Karo ogląda się na prawo i lewo. Z jednej strony nadjeżdża samochód, z drugiej tramwaj. Przejść można, ale szybko. Karo lepiej niż ludzie oblicza odległość. Pociąga linkę, którą jego pan trzyma w ręce i kłusem przebiegają jezdnię. Karo prowadzi pana do przystanku i czeka cierpliwie aż wszyscy wysiądą z tramwaju. Dopiero wtedy pakuje się pierwszy, pan za nim. Pojechali.

Na drugi dzień przyszli znowu. Przychodzili tak przez cały rok. Pełne zaufanie Kara pozyskałam już po kilku dniach — jego pana — po kilku tygodniach. Karo spał smacznie w czasie naszej pracy, a gdy chciał wyjść z pokoju, stawał przy drzwiach i spoglądał na mnie nigdy na pana, gdyż rozumiał doskonale, że jego pan nie widzi.

Zdaje mi się, że w ogóle rozumiał znacznie więcej, niż mogliśmy przypuszczać!

Raz zdarzyło się, że pan Kazimierz, który jest zresztą uosobieniem dobroci, przyszedł jakiś szczególnie rozdrażniony. Powiedział mi mnóstwo przykrych rzeczy, na które nie zasłużyłam. Przestałam odpowiadać, siedziałam w milczeniu, łzy płynęły mi po policzkach.

— Jak to dobrze, że on tego nie widzi — pomyślałam.

Ale — Karo widział. Położył łeb na mych kolanach, lizał moje dłonie. Rozżalona nie reagowałam na to wcale. Wtedy Karo uchwycił delikatnie zębami rękaw swego pana i począł jego dłoń ciągnąć w stronę mojej ręki.

— Czego ty chcesz, Karo?

Milczenie.

— Proszę panią, czego Karo chce ode mnie?

— Uważa, że pan powinien mnie przeprosić!

...I stało się: Karo nas pogodził.

— — — — — —

Udało mi się przekonać pana Kazimierza, że może być zwyczajnym słuchaczem swego wydziału. Dyktował mi więc referaty, zdawał egzaminy. Pracowaliśmy wytrwale i wyniki były doskonałe. Porucznik odzyskał wiarę w siebie, otwarły się przed nim nowe horyzonty. Był coraz bardziej zrównoważony, często wesoły.

— Życie jest piękne — mawiał nieraz i świat jest cudowny, nawet gdy się go nie widzi.

Opowiadał mi o swoich wycieczkach do Zakopanego, do Krynicy, gdzie świetnie dawał sobie radę, sam z Karem. Wystarczyło, aby Kara, raz i drugi, zaprowadził ktoś do lasu, do kaplicy, do jadalni, do łazienek, mówiąc wyraźnie, dokąd idzie. Gdy później porucznik powtarzał tą nazwę — Karo prowadził. Nie mylił się nigdy. Kazimierz lubił wychwalać „rozum" swego psa. Czasem zdawało mi się, że przesadza.

— Gdyby mnie samochód przejechał, albo gdyby mi się coś stało na ulicy, Karo przyjdzie panią zawiadomić. Już mu to wytłumaczyłem.

— Ciekawa jestem, jak pan mógł mu to wytłumaczyć?

— Nie wierzy pani? W każdym razie mam nadzieję, że pani pójdzie z Karem, jeżeli sam zjawi się u pani i zaszczeka pod drzwiami.

W parę dni później nie przyszli o zwykłej porze. Mija kwadrans, pół godziny — ich nie ma. Wreszcie rozlega się szczekanie: raz, dwa, trzy — dokładnie według umowy. Wiem, że pies Czerwonego Krzyża szczeka tylko na rozkaz swego pana, albo w razie niebezpieczeństwa. Ręce mi drżą, gdy drzwi otwieram. Karo jest sam.

— Gdzie twój pan? — wołam z przestrachem. Karo ciągnie mnie zębami za suknię i prowadzi ku schodom. Chwytam swoje dwie laski, i jak mogę najszybciej, schodzę na dół. Karo, jak pierwszorzędny aktor, stwarza nastrój najwyższego dramatycznego napięcia. Tymczasem na ulicy wpadam wprost na pana Kazimierza. Śmieje się w głos — Karo macha ogonem, obskakuje — to porucznika, to znów mnie, oblizuje się, łyska wesoło ślepiami — cały w podrygach zadowolenia ze siebie. Obaj są zachwyceni swym dowcipem, ja mniej. Obiecuję, że nigdy nie będę wątpić w genialność Kara, tylko niech mnie już więcej nie straszą!

Karo ma duże poczucie humoru i lubi płatać figle nawet swemu panu.

Wybrali się raz z wizytą do znajomej, która poczęstowała porucznika herbatą i ciastkiem, ale na Kara nie zwróciła najmniejszej uwagi. Obraził się słusznie, i gdy wyszedł z panem, był głodny i zły.

— Do domu! — rozkazał porucznik, również nachmurzony.

Po drodze zaczął tłumaczyć, że sklepy już zamknięte, więc nawet kiełbasy dla Kara nie ma gdzie kupić.

— Trudno, Karusiu... Ja także jestem głodny — nie ma rady.

Milczący Karo jednak uważał, że rada może się znaleźć. Miał swój plan, miał własną decyzję i wolę jej wykonania — pewien, że „jego władza" go zaakceptuje, bowiem z całą stanowczością wykazał, iż zamierza iść — własnymi drogami. Porucznik zorientował się niebawem, że Karo prowadzi go w nieznane.

My chyba, piesku, nie idziemy do domu... Gdzie jesteśmy?

Słowa wypowiedziane były głośno, z nadzieją, że ktoś z przechodniów je usłyszy.

Mgła wieczorna omotała chłodem twarz niewidomego. W głębi ulicy czystym dźwiękiem kolebało się bicie zegara. Była godzina dziewiąta. Porucznik nie wyczuwał z bliska niczyjej obecności — wiedział, że ulica była pusta. Nie było więc komu odpowiedzieć na to pytanie.

Pan Kazimierz poczuł się zdezorientowany, z tym większą więc czujnością śledził sytuację. Narożnik, zakręt — jeden, drugi. Jakaś brama, potem — schody nieobce, nieobce drzwi, lecz — to nie są drzwi jego mieszkania.

— Zgłupiałeś, Karo! — woła porucznik, lecz szuka dzwonka. Cóż robić...

Ktoś drzwi otwiera i — nagle rozbrzmiewa dźwięczny i uradowany głos kobiecy:

— Ach, to pan, jak to dobrze, że pan przyszedł. Siedzę sama i nudzę się.

— To nie ja przyszedłem, to Karo — mówi onieśmielony porucznik — nie śmiałbym nigdy niepokoić pani o tej porze.

Pani jest zachwycona. Przemawia czule do Kara, i jakby przeczuciem wiedziona, że goście głodni — niezwłocznie stół zastawia. Znalazły się różne smakołyki i dla pana i dla psa. Karo jest zupełnie z siebie zadowolony. Trąca swego pana porozumiewawczo łbem i zdaje się mówić:

Jeżeli mamy wieczorami chodzić do kobiet, to już chyba lepiej do tej miłej i gościnnej, niż do tamtej sknery!

Pan jest także tego zdania, choć uznaje za potrzebne zrobić uwagę:

— Wstydziłbyś się, Karo. Żaden przyzwoity pies Czerwonego Krzyża nie płata takich figlów.

Karo się wstydzi, z obowiązku, ale... skrzydełko kury jest wyborne.

— — — — — —

Wrzesień 1939 roku. Bombardowanie Lwowa. Przychodzą do mnie w dalszym ciągu, obaj zdenerwowani.

— Pani sobie nie wyobraża, jakie to okropne być na ulicy w czasie nalotu i nic nie widzieć.

— Więc dlaczego pan wychodzi?

— Nie mam cierpliwości siedzieć w domu. Tam jeszcze gorzej. Karo zresztą chciał wiedzieć, czy się pani nic nie stało.

Ach tak, Karo chciał wiedzieć... mój przyjaciel Karo...

Zmienił się w tym czasie. Porucznik nie traci optymizmu, uczy się masażu, przygotowuje się praktycznie do życia w nowych warunkach. Karo czuje zbliżającą się katastrofę, jest przygnębiony, coraz bardziej niespokojny. Pełni jednak swą służbę do końca.

Do Czerwonej Armii odnosi się z — wyraźną pogardą. Kpi sobie z wszelkich zarządzeń i osławionych „oczeredów". Gdy tylko zauważy „kolejkę" przed jakimś sklepem, rozpycha natychmiast tłum i wciąga swego pana do sklepu. Nikt nie protestuje. Kupują w ten sposób, dla siebie i dla drugich, wiele cennych produktów. Czasem jednak zdarzają się zabawne epizody, gdy porucznik, już w sklepie, dowiaduje się z zażenowaniem, że tu sprzedają damską bieliznę, gorsety, lub coś w tym rodzaju.

— Masz przecież oczy, Karo, mogłeś popatrzeć!!

— A pan umie mówić, mógłby pan zapytać — myśli Karo.

Raz wcisnęli się do cukierni Zalewskiego, który sam stał przy ladzie i sprzedawał konfiturę morelową — słoik na osobę.

Porucznik kupuje, płaci, chce odejść. Karo ciągnie go z powrotem do lady i staje.

— Co takiego, dlaczego stoisz, czy nie można wyjść?

— Można, proszę na prawo — odpowiada kupiec.

Ale Karo ani drgnie, a tłum się niecierpliwi. Ludzie stoją w kolejce od kilkunastu godzin

Porucznik sprawdza w myśli: byłem przy kasie, zapłaciłem, mam słoik w kieszeni, więc o co chodzi?

Nagle Karo trąca go porozumiewawczo głową, jak zawsze, gdy o mnie chodzi.

— Ach!... Proszę o drugi słoik konfitury! — woła porucznik.

— To zupełnie wykluczone, dla każdego jeden słoik.

— Ależ ten drugi nie dla mnie, tylko dla takiej starszej pani, która jest kulawa i trudno jej stać w kolejce. Opiekuje się niewidomymi.

Cukiernik znał mnie dobrze, bez wahania podaje konfiturę. Przynieśli ją w triumfie, obaj zadowoleni .

— Karo przypomniał mi o pani — wyznaje uczciwie pan Kazimierz. — On zawsze o pani pamięta...

— — — — — —

Zdarzyła się rzecz niesłychana. Karo wprowadził pana do mego pokoju, oddał go w moje ręce, a sam jednym susem skoczył za okno i porwał zawieszony tam zwój kiełbasy. Trwało to sekundę. Krzyknęłam mimowoli wielkie słowo: „kiełbasa!", gdyż zdobyłam ją w handlu zamiennym, odając jakąś część garderoby. Porucznik się zirytował, zwymyślał Kara i grozi odkupieniem kiełbasy. Zapewniam więc, że to był malutki kawałeczek, bez wartości.

— To nieprawda, słyszałem jak Karo gryzł, a pani wie dobrze, że niewidomych nie wolno okłamywać!

Tak, wiem, to jest zasada elementarna, ale gdy chodzi o obronę przyjaciela?...

— Karo musi być bardzo głodny, jeżeli to zrobił — próbuję tłumaczyć.

— Wszyscy jesteśmy głodni — odpowiada porucznik — i będziemy głodni coraz bardziej. Pani jednak nie kradnie mimo głodu.

— Może jest przecież jakaś różnica między mną a Karem?

Porucznik się uśmiechnął.

— Owszem, jest. Pani ma tak samo wierne i uczciwe serce, jak Karo — tylko on jest bardziej dyskretny.

— Dlaczego pan tak sądzi? — pytam urażona.

— Ach, po prostu dlatego, że on nie umie mówić.

— — — — — —

Rok 1940, 13 kwietnia: straszliwa droga na wygnanie.

Oni jeszcze są we Lwowie: Karo i jego pan. Skąpe wiadomości o nich przenikają do mnie do Kazachstanu. Wreszcie ostrzeżenie. „nie pytaj o Kazimierza".

W Teheranie spotykamy się przelotnie, ale Kara już nie ma.

Jego pan, aresztowany we Lwowie, wywieziony do Starobielska, przeszedł tam gehennę. Po amnestii dotarł do Tockoje, zweryfikowany w randze porucznika, pracował w szpitalu jako masażysta. Zawsze i wszędzie dawał sobie radę i budził podziw swoim optymizmem i pogodą ducha.

Karo jednak nie przeżył rozstania. Najwidoczniej rozumiał co się stało, bo przecież dawniej nieraz musiał rozłączyć się z panem na kilka dni, lub dłużej, i zachowywał się normalnie. Teraz od pierwszej chwili szaleje z rozpaczy. Nie przyjmuje posiłków, nie zbliża się do nikogo, chce być sam, chce zginąć. Ktoś lituje się nad nim i podsuwa mu truciznę. To jedno przyjmuje chętnie z ręki ludzkiej.

Psie serce przestało cierpieć. Z dwu przyjaciół — jeden tylko przetrwał okropności wojny. Niewidomy porucznik żyje teraz w Londynie.

Biała laska zastępuje mu psa-przewodnika. Na widok tej laski Anglicy spieszą z pomocą polskiemu inwalidzie, prowadzą go z ulicy na ulicę, podają go sobie z rąk do rąk. Zapewne i moje miejsce ktoś zajął oddawna, wspomnienie naszej wspólnej pracy stało się dalekie, zatarte, ginące we mgle...

Miałeś wyższość nade mną, przyjacielu Karo: — nie umiałeś mówić. Gdyby jednak twój pan kiedyś w niebezpieczeństwie, zaszczekaj tylko z swych psich zaświatów, w sposób umówiony, a przekonasz się, że i ja mam wierne, choć tylko ludzkie serce...

Janina Romańska

NOWE KSIĄŻKI

KARD. STANISŁAW HOZJUSZ BISKUP WARMIŃSKI

1504 — 1579
Opracował: X. J. Umiński
Str. 99.
Wydanie drugie, Opole 1948.
Cena 5 sh., z przesyłką 5/3

Do nabycia w VERITAS F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2

Prof. dr T. Silnicki

ŚW. WOJCIECH CZŁOWIEK I ŚWIĘTY

Str. 48.
W-ctwo Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu
Cena 2/6, z przesyłką 2/9

Do nabycia w VERITAS F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2

Wincenty Lutosławski

MŁODZI ŚWIĘCI WSPÓŁCZEŚNI

Str. 309.
W-ctwo Mariackie, Kraków 1948.
Cena 7/6, z przesyłką 8 sh.

Do nabycia w VERITAS F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2

BŁOGOSŁAWIONA KINGA

Życiorys
Opracowała: S. Maria Immaculata, Klaryska
Str. 114.
W-ctwo Św. Krzyża w Opolu
Cena 6 sh., z przesyłką 6/3

Do nabycia w VERITAS F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2

MIECZYSŁAW LURCZYŃSKI

OPOWIADANIE

OGNIWA

POWINNA tu leżeć.

Bazyli przyświecał ogarkiem świeczki. Blask maleńkiej żarówki u sufitu nie dochodził do tego kąta. Przesunął ostrożnie ręką po chropowatych deskach prostych półek, pokrytych miękką pierzyną kurzu. Palce napotkały grube frendzle pajęczyn i zanurzały się, oddzierając miękkie ich płaty od ceglanego podłoża. Butelka leżała przy ścianie.

— Mam ją — mimowoli szepnął Bazyli.

Wydobył czarną, obrośniętą kurzem butelkę o wysmukłym kształcie. Wyglądała jak wyrwany państwu Posejdona szczątek starej galeony, tak była porośnięta wodorostami pajęczyn, długich i chwiejących się łagodnie przy lada poruszeniu.

— Leciwa staruszka — mruknął z uznaniem Józef.

— Mówiłem ci: osiemdziesiąte lata. Dziad włóczył się wtedy z Miłkowskim po północnej Grecji. Tam jest podobno obyczaj przechowywania wina w ziemi w wielkich, glinianych dzbanach. Dziad pijał takie wina. Mówił mi, że czasem były aż gęste i czarne ze starości i miały niesłychaną moc i aromat.

Podniósł butelkę i, trzymając ją pod światło, starał się dojrzeć jej wnętrze. Zabłysło ciemnym rubinem.

— Chodźmy na górę. Tam przyjrzymy się jej lepiej.

Zawrócili i mijając szeregi półek, na których leżały ciała przeróżnego kształtu butelek, podeszli do schodów-drabiny. Po chwiejnych stopniach wdrapali się na górę i odetchnąwszy z ulgą świeżym powietrzem, zawarli masywne drzwi, zasunęli rygle i założyli kłódkę. Józef zdmuchnął płomień świeczki. Przez jadalny i hall udali się na drugą stronę dworu, gdzie Józef miał chwilowo swój pokój. Tam Bazyli postawił ostrożnie butelkę na stole.

— Stary przed śmiercią powiedział mi, żebym wspomniał go pijąc to wino. I że mam je wypić w momencie ważnej decyzji w mym życiu. Powiedział, żebym wesela swego nie uważał za ważny wypadek. Taki dowcip wysmażył na dwie godziny przed swoją śmiercią. Pamiętam jak dziś, chociaż to było lat temu... tak, ponad dwadzieścia.

Usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

— Myślę, że dzień dzisiejszy jest dobrze wybrany — ciągnął. — Stary był wściekły patriota. Pracował wespół z Langiewiczem. Odsiadywał swoje w więzieniach austriackich. Potem szwędał się po świecie razem z Miłkowskim, pracował jako robotnik w Anglii, pisywał artykuły. Był demokratą. Wreszcie za łaskawym zezwoleniem władz rosyjskich zjechał tu. Był już bardzo stary. I znużony nad wyraz. Siedział w domu i jak sam mówił „powoli zdychał''. Nic go nie obchodziło. Ale mnie, smarkacza, lubił. Oczywiście na swój sposób. Ironizując na temat mych zacietrzewień młodzieńczych. Szczepiąc bunt i myśl krytyczną. Sądzę, iż trochę ufał mi. Jego odezwania były tak charakterystyczne nieraz, iż pozostały mi do dziś w pamięci. Mądry był stary. I trzeźwy.

Zaciągnął się dymem papierosa. Poprzez jego szeroką, mocną twarz przeszedł cień zadumy.

— Tak, to jest dobrze wybrany czas. Kto wie, czy dziad nie myślał właśnie o takim momencie.

— Jesteś już przygotowany całkiem do drogi? — spytał Józef.

— Nie. Po pewne rzeczy muszę jeszcze pojechać do młyna. Tam mam także ten kanadyjski kubrak, podbity futrem. Na ewentualne przejścia przez przełęcze jedyny. No i forsy trochę w walucie krajowej trzeba przychwycić. I plotek ostatnich posłuchać wypada.

— Pojedziesz z Antonim, wozem?

— Tak. Wrócę około dziewiątej. Wtedy zjemy kolację i wypijemy ku dziada pamięci.

Wstał i przeciągnął się aż zatrzeszczały kości.

— Uh, wolałbym już być po drugiej stronie Karpat. A jeszcze bardziej w Egipcie albo w Palestynie.

Na kamiennym podjeździe zaterkotały koła wozu. Konie musiały się niecierpliwić, bo słychać było co chwila tupot kopyt i uspakajający głos woźnicy wołającego przeciągle: Ho -o-o-o! Ho -o-o-! —

— Idę — rzekł Bazyli.

— A nie zaplącz się tam w jaką awanturę.

Bazyli uśmiechnął się, błyskając zdrowymi, nieprzyzwoicie szerokimi łopatami zębów. Jego niebieskie oczy spojrzały na Józefa z tym mimowolnym naciskiem, zawierającym, zupełnie świadomie, groźbę i lekceważące wyzwanie. Wyszedł, stąpając dość ciężko w swych eleganckich butach z cholewami. Za oszklonymi drzwiami ujrzał Józef jeszcze raz jego szerokie, proste plecy, ujęte w krój sportowej marynarki. Potem odgłos kroków ucichł.

* * *

Trudno było gonitwę myśli wtłoczyć w łożysko milczenia. Wiatr obłąkańczo, ze ślepym uporem, tłukł łbem o stare ściany dworu. Drzewa pojękiwały i stękały w ciemności. Pomrukiwał piec żelazny, łyskając krwawą blizną oka. Ze wszystkich stron wlokły się chrome cienie ku światłu, niby paralitycy ku sadzawce Siloe. Lampka stała na stole przy którym pracował Józef. Cisza była we dworze. Przerwała ją dźwięczna mowa zegara w jadalnym pokoju: biła godzinę dziewiątą.

Józef podniósł głowę znad papierów. Jął patrzeć w szklaną czerń okna. Zdaleka świeciły się szyby czworaków i gasły, gdy podmuch wiatru przesuwał po nich gałęziami drzew. Psy szczekały głosami swych nocnych przeczuć i majaczeń.

— Powinien już powrócić — mruknął Józef. Skoro świt mieli przecież wyjechać, najpierw śmieszną, maleńką kolejką podmiejską do Warszawy, potem zaś, drogami już nieznanymi, dalej, do górskich przełęczy Tatr, a poprzez nie na Węgry, Jugosławię i Włochy na Bliski Wschód. Ten wieczór mieli jeszcze spędzić we dworze. I Bazyli zdecydował zamknąć pierwszy rozdział swego życia czerwoną wypustką greckiego wina, ofiarowanego mu niegdyś jeszcze przez jego dziada. Okazja była uroczysta, nic więc dziwnego że związana została z pamięcią o starym powstańcu z sześćdziesiątego trzeciego, zawianymi dawno śladami stóp którego mieli obaj teraz podążać.

Józef zabębnił niecierpliwie palcami po stole. Ponosiły go nerwy. Niesamowity huk wiatru wśród bezlistnych koron wysokich drzew drażnił go swym edypowym jękiem. Ze wzrastającym napięciem nadsłuchiwał czy nie odezwie się charakterystyczny odgłos hurkotu kół, czekał szorstkiego otworzenia drzwi od werandy, niecierpliwego otrząsania błota z podeszew, i wreszcie wkroczenia wśród śmiechu i rozmów do hallu całej grupy, zajętej w dzień pracą we młynie. Natężenie słuchu było tak silne, iż powodowało tworzenie złudzeń, rodzaju fata-morgan słuchowych, przepadających za chwilę w górnym pohuku jesiennego wichru. Nie mogąc dać sobie rady z nerwami Józef wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. — Baba jestem — mruknął. — Mam zamiar hazardować, a drażni mnie cisza w domu. —

Nagle stanął. Zdawało mu się, że usłyszał strzał, potem drugi i trzeci. Odgłosy dochodziły słabo, niby owinięte w watę, jakgdyby odganiane kierunkiem wiatru. Czyżby i tym razem ulegał złudzeniu? Natężał słuch, ale prócz dalekiego szczekania psów i szaleństwa wichru, odprawiającego swój pohutliwy sabat wysoko wśród gałęzi topól, nie zdołał nic pochwycić. — Halucynacja — mruknął. Podszedł do stołu, by wyregulować knot lampy. Cienie zaczęły biegać w popłochu po ścianach i suficie. Wreszcie ułożyły się miękko i przyległy po kątach. Zwolna odszedł do okna. — Chyba zadzwonię do młyna — mruknął. Lecz stał i czekał.

Od strony kuchni trzaśnięto drzwiami. Pospieszne kroki kilku osób zbliżyły się ostrym tupotaniem. Odskoczyły pchnięte silnie drzwi. Wbiegła Anna. Jej rozszerzone, zielono-niebieskie oczy błyskały światłem.

—Józef, ratuj! Chodź, chodź!

Józef poruszył się gwałtownie. Lecz już trzymały go zimne, kurczowo zaciśnięte ręce, ciągnąc ku wyjściu.

Za Anną wszedł Kubicki, buchalter we młynie, i przystanął pod piecem. Jego zapadniętą twarz suchotnika przebiegał nerwowy tik. Ręce sięgnęły mimowolnym ruchem do kieszeni, wyjmując kapciuch i bibułkę. Migalin, totumfacki potrzebny w czas wojny, wbiegł, jeszcze w tyrolskim kapelusiku na głowie, ukazując swą twarz ładnego szelmy.

— Kazałem na wszelki wypadek przygotować dwie lampy. Stoją w hallu. Możemy już iść.

Józef spojrzał na Annę.

— Bazyli? — rzekł.

Skinęła głową.

— Postrzelony, a może zabity — załkała sucho.

— Daleko?

— Nie, na drodze, tuż koło krzyża. O Boże, chodźcie przecie! — krzyknęła nagle.

Józef pospiesznie wkładał swój kubrak.

— Niech pan powie — rzekł do Kubickiego — by woźnica trzymał konie zaprzęgnięte do wózka. Mogą się przydać. Idziemy.

Szli pospiesznie ciemną, ogrodową aleją. Ogromne świerki huczały potężnie. Z objęć chmur wyrywał się co chwila księżyc, spłoszony i dziki, niby koń cwałujący w burzanach. Migotało kilka gwiazd naprędce swymi spojrzeniami. Było zimno.

Idąc koło Anny, Józef wypytywał się o szczegóły. Z krótkich odpowiedzi jej wysnuł obraz minionego zdarzenia.

Powrót nastąpił późno, gdyż wszyscy czekali na bryczkę z Wielkich Dzwonów. Nie przyszła jednak, więc po ósmej załadowali się w sześcioro na wóz, Anna z Bazylim, Kubicki, Migalin z żoną i Andrzej powożący. Wstępowali po drodze do „Radczyni'' na parę wódek. Ale naprawdę tylko parę. Wszyscy byli trzeźwi, poza tym trwająca prawie godzinę droga w zimnie i wietrze zniweczyła radykalnie działanie nawet tych paru kieliszków. Z początku rozmawiano, potem jednostajny stuk kopyt końskich o asfalt lub kostkę szosy, monotonne pokrzyki woźnicy, może zresztą również niesamowita zabawa reflektorów aut, przetaczających się po szosie, to rozżarzających zimnym światłem plecy jadących, to znów zaglądających im sinym płomieniem w pobielałe twarze, uciszała wszystkich. Woźnica machał batem, jakby oganiając leniwie konie od nieistniejących owadów. Wreszcie skręcono na boczną drogę i koła zanurzyły się w sypkim piasku. Stało się jeszcze ciszej. Tylko źle nasmarowane osie wozu zgrzytały i tarły się.

Anna była znużona. Siedziała na prowizorycznej ławeczce wozu. Wiatr sięgał drapieżnie do jej twarzy, wyciskał łzy z oczu i szarpał za włosy, ukryte pod kolorową chustką. Przed sobą miała niekształtny zarys postaci Bazylego, zagrzebanego w sianie w pozycji prawie leżącej. Jego głowa od czasu do czasu dotykała jej nóg. Myślała, że to ich ostatni wieczór. Że zobaczą się dopiero po wojnie, o ile los pozwoli im jeszcze na spotkanie.

— Życie ma w sobie coś z Kronosa, pożerającego swe dzieci — pomyślała niespodziewanie. — Jakiż jest ostateczny sens wszystkich poczynań ludzkich, sens nieprzemijający, sens, który by nadał im wartość już niezmienną? Czy na takie pytanie może istnieć odpowiedź zadawalająca? Odpowiedź wiary chyba...

Przed nią Andrzej, ściągając lejce przechylił się mocno do tyłu. Konie niechętnie stanęły. Z mroku wysunęły się trzy postacie, świecąc elektryczną latarką. Byli to tak zwani „czarni'', pomocnicza policja niemiecka, złożona z mętów i grabiąca, ile się dało. Ów z przodu trzymał jeszcze rękę podniesioną do góry. Zbliżyli się i jeden z nich oparł się o boczną deskę wozu.

— Dlaczego nie ma oświetlenia? — spytał głosem chropawym i grubym. Zionęło od niego alkoholem. I widać było, że oparcie się o wóz wynikało z potrzeby utrzymania równowagi.

Z jadących nikt nie odpowiedział. Dopiero po chwili Kubicki siedzący w tyle, przechylił się, sprawdził czy lampka znajdująca się pod wozem pali się, i rzekł wskazując na nią:

— Przecież się świeci.

— Kiedy mówię że nie ma, to nie ma! — wrzasnął pytający. Kopnął butem latarnię aż zakołysała się gwałtownie. Mdłe jej światło zaczęło biegać tu i tam po jezdni, wyrywając z nicości usypiska starych kolein. — Mało widoczne — czknął prosto w twarz Anny nieskomplikowanym odorem wódki i śledzia. — Co macie na wozie? dodał, chwiejąc się przy próbie zajrzenia jej w twarz.

Dwu innych przybliżyło się także, Jeden z nich niespodziewaną fistułą wyrzucił z siebie szereg tonów przypominających sapliwy rechot. — Sikorki! — zakończył nieoczekiwanie nagle bardzo wyraźnie.

FILOZOFIA BOLSZEWICKA

DOBRZE jest przeczytać „Wybrałem wolność“ Krawczenki, lub „Ciemność w południe“ Koestlera, czy wreszcie „Na nieludzkiej ziemi“ Czapskiego i cały szereg studiów i wspomnień o raju sowieckim, których coraz więcej ukazuje się na półkach księgarskich. Leczą nas one z pokusy pojednawczego wyciągania dłoni do rzeczywistości zza żelaznej kurtyny, każą wytrwać w trudnych nawet warunkach bytowania emigracyjnego, sprawiają, że intelektualista woli być boyem hotelowym w Londynie niż dziekanem wydziału na warszawskim uniwersytecie, są nam ulgą w bezsennych nocach nostalgii, — słowem — odżegnywują nas od uderzenia czołem przed „nowym bogiem“.

Dobrze też jest, iż tego rodzaju literatura cieszy się poczytnością na Zachodzie. Temperatura uczuć sympatii dla Kremla gwałtownie spada. Świat uprzytamnia sobie coraz wyraźniej, jaki to „raj“ chciano mu zaofiarować.

Jeśli jednak znamy górę faktów, za pomocą których jesteśmy w stanie odtworzyć sobie rzeczywistość sowiecką, to mało kto z nas poznał głębokie podłoże tej rzeczywistości. Mam na myśli sowiecką filozofię, doktrynę, światopogląd, pseudo - religię. Owszem, spotykamy bardzo dużo publikacji naukowych i pół-naukowych na temat marksizmu i komunizmu, lecz ich autorzy przeważnie nie potrafili sięgnąć do autentycznych źródeł doktryny bolszewickiej. Innymi słowy: bolszewicki materializm dialektyczny, w swej autentycznej formie, za mało jest znany Zachodowi. W dodatku, ci, którzy go znają, przedstawiają go w kategoriach myślenia zachodnich, lub z tendencyjnym naświetleniem propagandowym.

W 1948 r., największą popularnością na uniwersytecie fryburskim cieszyły się wykłady O. prof. Bocheńskiego o filozofii bolszewickiej. Z większym jeszcze powodzeniem powtórzył O. Bocheński powyższe wykłady w czasie „letniego uniwersytetu“ dla studentów zagranicznych. I wreszcie w roku bieżącym ukazała się w języku niemieckim jego książka pt. „Sowiecki materializm dialektyczny“*)

Opinia publiczna z wielkim uznaniem powitała tę 200 stronic liczącą pracę. Wszystkie dzienniki i czasopisma poświęciły publikacji wiele szpalt. Krytyka bardzo pochlebnie, przypisuje autorowi fachową wnikliwość i doskonałą znajomość obszernej literatury.. Książka ma charakter naukowo-popularyzacyjny, zachowuje daleko idącą objektywność, a przy tym nie brak uwag krytycznych wysokiej klasy. Te ostatnie uprzystępniają książkę czytelnikowi, który nie jest dostatecznie obeznany z filozofią. W zasadzie jednak książka jest trudna, gdyż mocno syntetyczna.

W historycznej części książki znajdziemy studium nad źródłami filozofii bolszewickiej, tak zachodnim jak i rosyjskim, historię filozofii bolszewickiej, jej charakter i ducha.

Część systematyczna poświęcona jest realizmowi, materializmowi filozoficznemu, dialektyce i jej stosowaniu, materializmowi historycznemu i wreszcie ocenie krytycznej. Samej bibliografii poświęca autor 21 stron druku.

Dziwne człowieka ogarnia uczucie, gdy widzi ten zupełnie odmienny i obcy nam świat niewolnictwa ducha. Płodności umysłowej z góry postawione są pewne sztywne ramy ze stalowego drutu, połączone z wysokim napięciem. Przekroczenie ich grozi nieubłaganą likwidacją. Jedynym sprawdzianem prawdy jest wierność klasykom: Marksowi, Engelsowi, Leninowi i Stalinowi. Wszystkie dowody opierają się na klasykach i najczęściej zaczynają się słowami: **Stalin skazał.** Cały postęp filozofii i wiedzy polega na wiernym komentowaniu klasyków. Wartość zaś jej mierzy się usługami, jakie oddaje partii. Biada ludzkości, jeśli padnie ofiarą niewolnictwa i tej nędzy umysłowej.

O. Bocheński sprowadza swe uwagi krytyczne na temat filozofii bolszewickiej do trzech: 1. Choć sowiecki materializm dialektyczny czerpał ze źródeł zachodnio-europejskich, jest on w swych istotnych zarysach dla człowieka zachodu produktem zupełnie innej kultury. Jest też nieścisłością nazywać go systemem filozoficznym, jeśli słowo „filozoficzny“ chcemy rozumieć w sensie zachodnio-europejskim. 2. Jeśli materializm ten porównamy z tym, czego uczą pokrewne mu systemy zachodnio-europejskie, naocznie przekonamy się, że jest on, pod względem treści, o wiele uboższy i nieporównanie prymitywniejszy. 3. Godzi on nie tylko w konwencjonalne zasady zachodnio - europejskiego dociekania filozoficznego, ale nawet w takie pojęcia, które pod względem treści i metody uważane są za ogólno ludzkie i objektywnie obowiązujące.

Ostateczny wyrok O. Bocheńskiego o filozofii bolszewickiej brzmi: „obca kulturze, prymitywna i z gruntu fałszywa“. Osąd surowy, ale nie za surowy.. Odpowiada on na poziomie filozoficznym temu, co na poziomie faktów referuje nam Koestler, Krawczenko lub Czapski.

Miejmy nadzieję, że polskie ośrodki wydawnicze zainteresują się książką O. Bocheńskiego i poproszą autora o przygotowanie do druku przekładu polskiego. Warto przecież poznać wroga w jego najistotniejszych założeniach i napewno wśród emigracji książka ta wzbudzi szerokie zainteresowanie. Tymbardziej, że lista polskich publikacji naukowych na emigracji jest bardzo uboga w porównaniu z beletrystyką.

Wokas

*) **I. M. Bocheński: DER SOWJETRUSSICHE DIALEKTISCHE MATERIALISMUS, — Sammlung Dalp. Francke Verlag, Bern.**

Andrzej odwrócił się na swym siedzeniu.

— Nic nie ma — rzekł z ciemności. — Jedziemy z młyna.

— Z młyna jedziesz i nic nie wieziesz?

Ręka prowodyra zanurzyła się w sianie. Nagle Anna poczuła ją, grubą i miażdżącą, wysoko na swych nogach. Nieopanowanie wydała okrzyk i zaczęła szarpać się z nią i z tym ciężkim ciałem, które sunęło ku niej. I wtedy właśnie wyskoczył Bazyli.

Nie umiała jednak wytłumaczyć, dlaczego akurat w tym momencie konie ruszyły. Andrzej zapewniał, że poniosły! Twierdził, iż jeden z czarnych kopnął gniadego w podbrzusze! Dlaczego jednak nastąpiło to kopnięcie, nie umiał wytłumaczyć. Anna była przekonana, że musiał zachęcać konie do szybkiego biegu. Mętnie przypominała sobie atramentowy cień bata wijącego się wężowo w powietrzu. Niemiłosiernie podskakiwały koła. Konie przeszły w cwał, być może na skutek trzasku kilku strzałów, skierowanych w ich stronę.

Anna przypuszczała, że Bazyli z trudem panował nad sobą już na samym początku zajścia. Sądziła, iż oprócz innych, musiały również pewną, być może nieświadomą rolę, grać instynkty atawistyczne — określonej hierarchii społecznej, urażonej ambicji tego „ze dworu", przyzwyczajonego do ogólnego szacunku i niemal czołobitności. Należało przypuszczać, że, z drugiej strony, stan zamroczenia alkoholowego jak i ciemna noc nie pozwoliły czarnym zauważyć, iż mają do czynienia nie z chłopem ale z tak zwanym „państwem". To spostrzeżenie, być może, powstrzymałoby trochę ich rozpasanie. Zresztą, kto wie...

Tak czy owak, natychmiast po krzyku Anny i szarpnięciu koni, Bazyli skoczył wprost do tego, który wydawał się prowodyrem. Nim zdołała się zorientować co się dzieje, ciemna sylwetka draba zapadła się błyskawicznie i zastąpiła ją postać Bazylego. W tej chwili konie ruszyły. Podświadomość Anny zanotowała jeszcze gwałtowne odsunięcie się Bazylego, widocznie obawiającego się, by go nie zaczepiły koła wozu. Wydała drugi okrzyk, lecz Andrzej (być że to może, iż nie zauważył skoku Bazylego?) nie zareagował. Wtedy nastąpiły strzały płoszące konie. Andrzej skulił się, pochylił na swym siedzeniu i, potrząsając lejcami, pobudzał konie do szybkiego galopu. Mniemała, iż podciął je również batem. Dworskie kobyły na dobrym obroku poniosły łatwo, czując bliskość stajni.

W oczach Anny pozostał przejmujący widok samotnego mężczyzny stojącego naprzeciw dwu mrocznych cieni. Trzeci niekształtny cień poruszał się ociężale tuż przy ziemi, wydłużony lecz bez wyraźnego konturu. Załamujący się na czarnym chaosie kształtów strumień elektrycznego światła podkreślał jeszcze nierealność sytuacji, dopiero więc po kilku sekundach, gdy echo strzałów przebrzmiało i ucichł krzyk nawołujących, Anna zdołała, padłszy na kolana i trzymając się kurczowo deski, dosięgnąć pleców Andrzeja; bijąc w nie ręką, szarpiąc za kołnierz kubraka, wołała jednocześnie, by stanął. Lecz woźnica, głuchy i ślepy na to co się działo za nim, pilnował tylko koni, bacząc by nie wpędziły wozu do rowu. Tak dojechali do zabudowań folwarcznych.

O wszystkich tych szczegółach dowiedział się Józef od Anny, idąc na miejsce wypadku. Małą gromadką podchodzili do drogi, mając zgaszone latarnie i starając się stąpać jak najciszej. Istniała niewielka możliwość, iż czarni zaczaili się; wokół jednak panował najgłębszy spokój, tylko uschłe liście wieńców na krzyżu szeleściły nieznaną mową, zwierzając coś przeciągającemu po ich zwiędłych ciałach wiatrowi. Pogoń chmur dosięgła księżyc — było ciemniej.

— To chyba tutaj — szepnęła Anna.

Migalin przystanął.

— Pamiętam, że w pewnym momencie światło latarki oparło się o sztachety ogrodzenia przy krzyżu. Oni wyszli z tego kierunku — wskazał ręką.

— Czyżby go zabrali ze sobą? — mruknął Józef.

Szedł wzdłuż drogi przy brzegu, poczem zawrócił ponad drugim rowem do miejsca przy krzyżu.

—Musimy zapalić lampy — zdecydował.

Podniósł ze zgrzytem szkło latarni stajennej i skrzesał ognia. Czarne, niewyraźne masy wystąpiły zdecydowanie naprzód, błyszcząc w obrębie światła żywym kolorem. Po za kręgiem jasności noc stała się bardziej jeszcze intensywna, nieprzenikliwa jak ściana obita czarnym aksamitem. Migalin i Józef zaczęli zataczać kręgi po polu, to pochyleni, to podnosząc wysoko lampę celem oświetlenia dalszej przestrzeni.

Wreszcie Migalin przystanął, odstawił na bok latarnię i przyklęknął na ziemi.

— Niech państwo tu przyjdą! — zawołał głośno.

Stopy Anny dostały skrzydeł. Nie biegły, a leciały ponad grudami czarnej ziemi, przysposobionej do nowego snu. Raz i drugi potknęły się. Aż wreszcie Anna przyklękła koło Migalina, dźwigając rękami bezwładną głowę Bazylego.

Józef był tuż za nią. Spojrzał na uśpioną twarz o półotwartych oczach, z długą smugą wzdłuż jednego z policzków, zbrudzeniem ziemią orną. Rozrzucone blond włosy wiły się nad szerokim czołem. Zniżył latarnię i ujrzał czarne skrzepy krwi poniżej piersi. Również ręce leżącego nosiły ślady czerwieni. Charakterystyczne ułożenie nóg, skręt postaci, chcącej się niejako owinąć wokół siebie, by uchronić przed doznawanym, uderzyły Józefa.

Wiatr pociągał chłodem. Wokół było czarno. Niewidzialne badyle z pobliża szeleściły cicho. I prawem kontrastu zapewne Józef ujrzał nagle równie samotne lecz spokojne wnętrze oświetlonego pokoju, fotele odsunięte niedbale, złoty błysk starej ramy i czarną, rubinową czarnością, butelkę wina — dar niepotrzebny.

Mieczysław Lurczyński

KRONIKA KULTURALNA

GEOGRAFIA

Paryska firma Larousse, szeroko znana ze swych wydawnictw encyklopedycznych i językowych, rozpoczęła niedawno publikacje kartograficzne. Ukazał się piękny atlas całego świata pod tytułem „Atlas International Larousse", specjalnie opracowany dla polityków, ekonomistów i historyków, a tym samym doskonale informujący każdego inteligentnego człowieka, który pragnie rozumieć bieżące wydarzenia. Pięknie wykonane mapy kolorowe zawierają zdumiewającą ilość różnorodnych danych z objaśnieniami w językach: francuskim, angielskim i hiszpańskim. Ponadto atlas zawiera tablice statystyczne i przedmowę pióra André Siegfrieda. Cena tego wspaniałego kompendium jest niestety — jak na polskie kieszenie — dość wysoka: 7 funtów 7 sh.

LITERATURA

Wydana ostatnio w Polsce przez katolicką firmę PAX słynna powieść Grahama Greene'a „Sedno sprawy", choć nie zawiera żadnych elementów politycznych, spotkała się już z pierwszym atakiem ze strony zdolnego zresztą pisarza Tadeusza Borowskiego. Jego operacja bojowa, niewiele mająca wspólnego z uczciwą krytyką, rozwija się według podobnych zasad, jakie zastosował niejaki L. B. Grzeniewski, atakując poprzednio książkę innego pisarza katolickiego — „Chwałę Córy Królewskiej" Marshalla (tytuł angielski: „All Glory Within"). Borowski pomija podstępnym milczeniem ogromne i bezsporne dla każdego przytomnego krytyka walory artystyczne „Sedna sprawy", twierdzi natomiast, że książka ta stanowi... obronę imperializmu brytyjskiego. Każdy, kto przeczytał już nie samo dzieło, ale choćby ze dwie recenzje o nim, musi uznać, że zarzut Borowskiego jest wprost humorystyczny: Greene zajmuje się problemami religijnymi, a kolonię afrykańską, w której spędził dłuższy czas w okresie wojennym, traktuje jedynie jako tło, zresztą doskonale pasujące do metafizycznej atmosfery powieści.

Publicysta reżymowych katolików Paweł Jasienica, który nie poprzestaje na sukcesach dobrego reportażysty, pisarza politycznego i działacza stworzonego przez władze komunistyczne fałszywego „Caritasu", udzielił w tygodniku „Dziś i Jutro" odpowiedzi Tadeuszowi Borowskiemu. Niestety, odpowiedź ta jest równie płytka jak atak. W charakterze bohatera „Sedna sprawy", majora Scobie, dopatrując się Jasienica „cech chrześcijańskich o zabarwieniu buddyjskim", a następnie pisze, że służba policyjna zabija uczucie litości. Wynika z tego, że p. Jasienica chyba nie czytał wcale utworu Greene'a.

Zarówno złośliwa i nieuczciwa napaść Borowskiego, jak nieinteligentna obrona Jasienicy dowodzą, że krajowe sfery intelektualne po prostu nie zrozumiały trudnej problematyki Greene'a. Sądzę, że zarzut ten odnosi się także do większości inteligencji katolickiej w Polsce, niedostatecznie przygotowanej do trawienia szczytowych osiągnięć intelektualnych i religijno-światopoglądowych tego wielkiego pisarza. Dowodzą tego liczne recenzje krajowej prasy katolickiej o powieści „The Hearth of the Matter", której tytuł świetny krytyk emigracyjny dr Wit Tarnowski słuszniej przełożył na „Sedno rzeczy" (a nie „sprawy", patrz szkic dra Tarnowskiego w Nr.Nr. 43/122 i 44/123 „ŻYCIA").

PLASTYKA

Nakładem firmy Faber and Faber ukazała się cenna antologia malarstwa bizantyńskiego pt. „Byzantine Painting", opatrzona przedmową i objaśnieniami O. Gervase Mathew, O. P. (cena 8 sh. 6 d).

W przedmowie swej O. Mathew zdołał pomieścić naważniejsze dane o historii sztuki bizantyńskiej, opisać jej technikę i wspaniałą kolorystykę oraz zanalizować w zarysie podstawowe zasady tego wspaniałego malarstwa. Szczególny nacisk kładzie autor na liturgiczny sens malowideł bizantyńskich. Reprodukcje tego zbioru — być może najwartościowszego z serii „Faber Gallery" — są dobrze wykonane, a dobór pokazowych dzieł—mozaik, malowideł ściennych, rosyjskich ikon, iluminowanych manuskryptów i miniatur — przeprowadzony został trafnie i celowo z punktu widzenia wywodów Ojca G. Mathew.

* * *

Przy okazji wyprzedaży publicznej obrazów barona Clintona wykryto w jego zbiorach nieznany dotąd obraz Rembrandta — „Ucieczkę do Egiptu", namalowaną ok. r. 1635. Anonimowy nabywca, działający przez londyńską firmę adwokacką, nabył ten obraz za 10.000 funtów.

MUZYKA

W ramach wydawanej przez f. Max Parrish serii „World of Music" ukazał się ostatnio tom poświęcony muzyce religijnej („Sacred Music", cena 7 sh. 6 d.). W tomie tym Alec Robertson daje przegląd wielkich twórców muzyki kościelnej na przestrzeni wieków. Robertson ubolewa nad faktem, że obecnie w kościołach katolickich prawie zapomniano, iż Msza św. była dawniej śpiewana przez wszystkich wiernych, a nie tylko przez kapłana i chór. Pisarz angielski zjawisko to przypisuje obojętności kleru i niewrażliwości muzycznej oraz apatii parafian. Książka jest pięknie ilustrowana czarno-białymi i kolorowymi reprodukcjami dzieł sztuki.

FILM

W wydanej w Paryżu bardzo interesującej pracy zbiorowej pt. „Les catholiques parlent du Cinéma" znalazł się cenny artykuł pióra M. T. Vasile pt. „Apport culturel du critique". Poddawszy współczesną krytykę filmową surowej ocenie (nie przytaczam argumentów francuskiego pisarza, gdyż podobne wysuwam we własnych recenzjach filmowych), M. T. Vasile pisze: „Krytyka, jeśli chce uczestniczyć w rozwoju intelektualnym i kulturalnym ludzkości, musi rozróżnić wyraźnie w dziele filmowym elementy przejściowe, uwarunkowane obyczajami i upodobaniami chwili, od składników głęboko ludzkich, a więc uniwersalnych. By wywiązać się z tego zadania, krytyka filmowa musi odgrywać większą niż dziś rolę w prasie, musi wypracować sobie własny system, własną metodologię, niemal że własną filozofię (...) Jeśli chodzi o badanie i ocenę wartości języka filmowego, to rola krytyki jest nie tylko estetyczna, ale także historyczna. Krytyk winien zasługiwać na wiarę, gdy pisze o historii rozwoju środków ekspresji filmowej. Powinien podkreślać rolę dzieł, które potrafią wygrać próbę czasu, musi je rozpatrywać i klasyfikować jako dzieła sztuki. Drogą badań historycznych ma krytyk odkrywać wewnętrzne prawa języka filmowego i studiować rozwój środków technicznych. Te badania historyczne będą pomocne w stworzeniu systemu metodologii i filozofii, dlatego nie powinny być arbitralne i abstrakcyjne (...) My katolicy musimy się specjalizować w tej trudnej i delikatnej dziedzinie i to specjalizować się inteligentnie i z najpoważniejszym wysiłkiem".

* * *

Słynne groty w Lascaux we Francji, zawierające przedhistoryczne malowidła ścienne zostały ostatnio sfilmowane w Technicolorze.

W KLASZTORZE ŚW. KATARZYNY

Do grecko-katolickiego klasztoru św. Katarzyny na górze Synai w Egipcie przybyła w początku b. roku amerykańska ekipa filmowa w celu dokonania serii mikrofilmowych zdjęć tekstów historycznych, przechowywanych w tym, istniejącym już przeszło 1600 lat domu zakonnym. Inicjatywę tej wielkiej imprezy naukowej podjęła waszyngtońska „Library of Congress" łącznie z amerykańską „Fundacją studiów nad człowiekiem". Do współpracy zaproszono specjalistów z Uniwersytetu Króla Faruka w Kairze, a w końcu lutego przyłączył się do ekspedycji prof. Garitte, filolog klasyczny z uniwersytetu w Louvain, by zająć się manuskryptami w języku koptyjskim, gruzińskim, ormiańskim i syryjskim. Większość tekstów wybranych do filmowania (jest ich ogółem około 3.000) stanowiły manuskrypty starogreckie. Uwzględniono także t.zw. „firmany", czyli nadania kalifów arabskich, dotyczące praw i przywilejów zakonników klasztoru św. Katarzyny. Filmowane były też miniatury zdobiące obficie teksty greckie — w ilości około 2.000. Praca ekspedycji (nie mówiąc o trudnościach przewiezienia sprzętu przez bezdroża pustynne na teren klasztoru — 1500 m. nad poziomem morza) była bardzo trudna, precyzyjna i wymagała wielkiej ostrożności, by nie uszkodzić bezcennych manuskryptów. Chociaż materiały, którymi zajęli się uczeni i filmowcy amerykańscy, są już na ogół znane nauce, można się spodziewać, że ich filmowa publikacja przyniesie interesujące niespodzianki.

Warto przy okazji nadmienić, że pierwsi zakonnicy klasztoru na górze Synai otrzymali ok. r. 300 zezwolenie matki Konstantyna Wielkiego św. Heleny na założenie tam warownego monasteru z małym kościółkiem. Później umieszczono w klasztorze odnalezione na półwyspie Synai relikwie św. Katarzyny.

RADIOFONIA

Na uniwersytecie w Lipsku została ostatnio ustanowiona katedra radiofonii. W zakres wykładów i ćwiczeń wchodzi studiowanie artystycznej strony emisji radiowych. Można się domyślać, że ta nowa gałąź nauczania wzorowana jest na osiągnięciach sowieckich.

NOWE KSIĄŻKI

Na rynku księgarskim w W. Brytanii pojawiły się w przekładach angielskich dwie cenne książki znanego francuskiego pisarza katolickiego Daniel-Ropsa. Są to: „Israel and Ancient World" (Eyre and Spottiswoode, cena 16 sh.) i „Where Angels Pass" (f. Cassel, cena 9 sh. 6 d.).

Książka o Żydach i świecie starożytnym stanowi pierwszy tom „Historii Świętej" wydany w Paryżu w roku 1943 i niezwłocznie skonfiskowany przez władze okupacyjne niemieckie. Przez stworzenie tego dzieła Daniel-Rops udowodnił, że posiada gruntowną znajomość teologii, historii starożytnej i starożytnych języków, archeologii a także nauk rabinicznych. Wykazuje ponadto doskonałe opanowanie metod krytycznych. Mimo tak kolosalnej wiedzy, autor nie tylko potrafił uniknąć uczonej nudy i pedantyzmu, ale wniósł do bogatej literatury biblistycznej nowy i świeży powiew poezji, francuskiej lekkości. Liczne wzmianki o wielkich autorach i artystach europejskich — jak Michał Anioł, Racine, Balzac, Blake, Claudel i Rimbaud oraz o klasycznych postaciach literatury — Don Juanie lub Makbecie — czynią ze studium Daniel-Ropsa lekturę pełną uroku dla nowoczesnego człowieka, a obrazowe przedstawienie wydarzeń biblijnych stawia przed czytelnikiem zamierzchłe czasy w nowym, ciekawym świetle.Zastanawiając się nad tajemnicą czaru pisarskiego autora tego porywającego dzieła, sprawozdawca tygodnika „Time and Tide", dochodzi do półżartobliwego wniosku, że mamy tu do czynienia chyba z podwójną, współpracującą harmonijnie osobowością: z historykiem Danielem i z Ropsem — Paryżaninem i francuskim poetą.

„Where Angels Pass" — to zbiór essay'ów literackich, częściowo poświęconych rozważaniom ogólnoestetycznym, częściowo zaś poszczególnym autorom i plastykom: Rilkemu, Rodinowi, Kafce, Emily Brontë. Zwracają uwagę dwa bardzo ciekawe szkice: o stosunku poezji do mistyki i o poezji w relacji do daru widzenia przyszłości („Poetry and the Gifts of Prophecy").We wszystkich tych essay'ach nacisk położony jest na problemy religijne.

Obie książki są dobrze przełożone na język angielski, ale korekta drukarska pierwszej nieco szwankuje.

St. Pał.

•

POLISH - AMERICAN ENCYCLOPAEDIA

W najbliższym czasie ukaże się w USA nakładem Ojców Jezuitów „Polish - American Encyclopaedia", wydawnictwo, obliczone na 6 tomów. W 14 artykułach zostanie w nim opracowana działalność polskich Jezuitów w Ameryce w latach od 1805 — 1950. W jednym artykule ogólny rys charakterystyczny działalności polskich Ojców Towarzystwa Jezusowego, a 13 następnych naświetli sylwetki i dorobek 31 najwybitniejszych polskich członków tego Zakonu, którzy działali w omawianym czasie na terenie USA. Ten dział opracowuje doskonale znany polskiemu społeczeństwu amerykańskiemu misjonarz i historyk O. Franciszek Domański T. J., z chicagowskiego Domu Jezuitów polskich (4105 North Avers Ave., Chicago, 111. 18, USA).

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

poleca następujące książki:

Wanda Ładzina
JADWIGA — WIELKA KRÓLOWA POLSKI
Cena 5/-

Jan Dobraczyński
SKĄPIEC BOŻY
(Rzecz o O. M. Kolbe)
Cena 1/10

Ks. dr Stanisław Bross
M. FRANCISZKA TERESA KOTOWICZÓWNA
(Świątobliwa wizytka warszawska w osiemnastym wieku)
Cena 6/-

Do zamówień dołączać 6d na przesyłkę

KATOLICKIE PISMO
DOBRA KSIĄZKA
TO TWOI PRZYJACIELE
NA UCHODŹSTWIE

NOWE FILMY

„BIAŁA BASZTA"

(The White Tower")

Film kolorowy. Wytwórnia: R. K. O. (ameryk.). *Scenariusz:* Paul Jarrico według powieści J. R. Ullmana. *Reżyser:* Ted Tetzlaff. *Dyrektor:* Sid Rogell.

•

GDY po obejrzeniu na premierach prasowych paru dziesiątków przeciętnych, złych i bardzo złych filmów, trafia się wreszcie na niewątpliwe dzieło sztuki filmowej, nie podobna pominąć odświętnej okazji do szerszej analizy, zwłaszcza, że „Biała Baszta", jako dzieło klasyczne, pójdzie niewątpliwie na t. zw. „general release", czyli będzie za jakiś czas wyświetlana w licznych tańszych, dostępnych dla polskiej publiczności kinoteatrach.

Potrzeba staranniejszego omawiania wielkich osiągnięć filmowych wydaje mi się tym bardziej paląca, że recenzenci prasy angielskiej wykazują w przytłaczającej większości zdumiewającą płytkość sądów, a często niedbalstwo graniczące z intelektualną arogancją. Stała lektura angielskich przeglądów filmowych utwierdziła mnie w przekonaniu, że recenzenci brytyjscy są często pośrednikami pomiędzy przemysłem rozrywkowym a publicznością — czymś w rodzaju dobrze płatnych (i, trzeba przyznać, niezależnych) kiperów, smakujących zawodowo wino, wódkę i kwaśne piwo filmowe lejące się z wytwórni. Rozważania teoretyczne są im obce, a filmy problemowe — w rodzaju „Białej Baszty" — zbywane są zazwyczaj kiepskimi dowcipami lub ironicznymi uwagami o bezsensowności wspinania się na szczyty górskie (Virginia Graham w „Evening Standard"). Żaden chyba z dziennikarzy angielskich nie zadał sobie trudu przejrzenia powieści Ullmana, na której film oparto.

Zamieszczając parę studiów teoretycznych, redakcja ŻYCIA dała dowód, że film traktuje przede wszystkim jako sztukę — najpotężniejszą, najbardziej syntetyczną ze wszystkich sztuk. Pod tym kątem spróbujmy zanalizować piękno filmu „The White Tower". Zaczniemy od tekstu literackiego.

Nie żałuję czasu i wysiłku poświęconego na wydobycie i dość skrupulatne przekartkowanie powieści James Ramsey Ullmana. Zestawienie treści literackiego pierwowzoru z filmem jest niezmiernie interesującym przykładem jak z bardzo przeciętnej, rozwlekłej i przeładowanej niepotrzebnymi szczegółami powieści może powstać doskonałe, zwarte i syntetyczne dzieło filmowe.

Jak postąpił scenarzysta z blisko 500-stronicową, miejscami mętną, czasem pretensjonalną powieścią? Potraktował ją jak surowy materiał. Pracę jego można — z pewnymi zastrzeżeniami — porównać do przetworzenia bogatego obrazu Breughela, czy sztychu Boscha, albo pełnego malutkich, precyzyjnych figurek ludzkich krajobrazu któregoś ze starych Holendrów na prosty i silny drzeworyt albo na linoryt. Paul Jarrico uczynił jeszcze więcej: wątek powieści Ullmana, rozgrywającej się w Szwajcarii w roku 1944, postawił poza czasem; ze wspinaczki górskiej wydobył parabolę drogi życiowej różnych ludzi a może i narodów i poszczególnym postaciom dodał nowego wymiaru — Conradowskich symboli. Odkształcenia w stosunku do tekstu Ullmana są znaczne, ale artystycznie udane (z wyjątkiem zakończenia, o czym niżej).

Otrzymawszy tekst scenariusza zdolny reżyser wraz ze świetnym operatorem przełożyli go na język ruchomej fotografii artystycznej (często nie docenia się roli operatora, zapominając, że to on jest okiem, przez które patrzymy na rozstawione przez reżysera postacie, wnętrza, pienery i poruszające się przedmioty). Dyrektor techniczny zaangażował aktorów, techników, zorganizował ekipę, która dokonywała zdjęć na zboczach i u podstawy Mont Blanc.

Ekipa ta poniosła straty: kilku jej członków porwała biała śmierć — lawina. Warto pamiętać o tym, gdy się ogląda film, należy westchnąć za dusze tych, co dostarczyli nam potężnych przeżyć estetycznych.

Muszę wyznać, że kilka scen z „White Tower" wywarło na mnie wrażenie tak silne, że nie zapomnę ich do końca życia.

Jeśli do tej ogromnej pracy zespołowej dodamy udział muzyka, który ilustracją dźwiękową (w paru miejscach zbyt patetyczną) uzupełnił plastykę filmu i — last but not least — niewysłowione piękno gór, oddane w naturalnych kolorach, w nieoczekiwanych ogladach, zbliżeniach, oddaleniach i skrótach — wówczas będziemy musieli się zgodzić (po obejrzeniu filmu, rzecz jasna), że poglądy Morliona, Irzykowskiego i innych teoretyków — o filmie, jako syntezie sztuk — nie są bynajmniej przesadne. Ani literatura, ani malarstwo, ani fotografia artystyczna, nie mówiąc już o muzyce czy teatrze nie byłyby w stanie — każda z tych sztuk we własnym zakresie — dać nam tak silnych, tak głębokich i tak wszechstronnych przeżyć.

Treść filmu jest bardzo prosta: wyprawa sześciorga ludzi na niezdobyty dotychczas szczyt alpejski „Białą Basztę" (nazwa fikcyjna, nie figurująca w atlasach). Każdy z członków zespołu ma osobiste powody podjęcia się tej niebezpiecznej próby: Carla Alten (włoska aktorka Valli, znana z filmu „Third Man") chce pokonać szczyt, bo zabrał jej przed laty ojca - alpinistę, Martin Ordway (Glenn Ford), strącony podczas wojny lotnik amerykański, leń i wygodniś nie kwapiący się do powrotu do cywilnego życia — z początku przyłącza się do ekspedycji jedynie przez sympatię dla Carli; dekadencki pisarz francuski, alkoholik, chce udowodnić sobie i żonie, że nie jest tchórzem; intelektualista angielski, niemłody i fizycznie słaby Nicholas Radcliffe (Sir Cedric Hardwick) pragnie zdobyciem szczytu pokonać uczucie pustki zmarnowanego życia; wreszcie Niemiec Hein (Lloyd Bridges) — wytrawny i silny alpinista wdziera się na „Białą Basztę" dla chwały swej ojczyzny, dla utwierdzenia wobec innych teorii o wyższości rasy germańskiej, a Szwajcar Andreas Benner (Oscar Homolka) prowadzi turystów, bo jest zawodowym, ambitnym przewodnikiem. Po odpadnięciu słabego dr Radcliffe'a i załamaniu się, a następnie samobójstwie francuskiego pisarza, butny Niemiec wyłamuje się ze zbiorowości i sam postanawia odbyć ostatni etap drogi do szczytu. Amerykanin, w którym rozbudziła się żyłka współzawodnictwa, wyrusza za Heinem, i dogania go w rozpaczliwej sytuacji, zawieszonego na jednej ręce na obsuwającej się, oblodzonej krawędzi skalnej. Chce mu pomóc — lecz Niemiec odrzuca wyciągniętą dłoń: ponawia próbę samodzielnego przezwyciężenia trudnego przejścia — naprózno — spada w przepaść .Ta scena filmu jest wspaniała: pychę ludzką zdemaskowano tu w sposób przejmujący do głębi.

Amerykanin rusza wyżej — już jest prawie u szczytu, gdy obezwładnia go ślepota górska: lekkomyślnie nie wziął okularów przeciwsłonecznych. Przybywający z pomocą Carla i Andreas mają do wyboru — albo ratować Ordway'a, albo zdobyć widoczny jak na dłoni szczyt „Białej Baszty". Wybierają to pierwsze.

Gdyby na tym urwano film — kompozycja byłaby bezbłędna. Niestety, dodano jeszcze kilkadziesiąt metrów taśmy, notując powrót do zdrowia Ordway'a i odjazd jego z Carlą do Genewy w celu zawarcia małżeństwa. Ten banalny happy end jest jak szpetna plama na pięknej, czystej w barwach tkaninie.

Jak widać z powierzchownego streszczenia filmu, oprócz rozkoszy dla oczu i uszu (muzyka, z paroma wyjątkami, bardzo dobra), oprócz dreszczów emocji sportowej i estetycznej w obliczu doskonałej gry aktorów, dzieło to dostarcza także strawy umysłowi i sercu: budzi zadumę o życiu. Czyni to tym skuteczniej, że postacie nakreślone są dyskretnie, bez jaskrawego wybijania narodowości poszczególnych osób (z wyjątkiem Niemca ,który w drugiej połowie wyprawy demonstracyjnie wkładą na głowę polową czapkę Wehrmachtu), bez nadmiernego gadulstwa łopatyzmu. Symbolika rzucanych na wiatr przez dekadenckiego pisarza rękopisów lub zapomnianych, czy raczej odrzuconych okularów ,bez których bezkarnie nie można wejść na szczyty — choć wymowna, nie jest przeciągnięta, gdyż silnie siedzi w realiach alpinistyki, w prawach psychologii. Gdyby nie owa czapka z hitlerowskim orłem i nie nazwisko „Hein" — postać pyszałkowatego Niemca można by potraktować równie dobrze jako uosobienie każdego zaślepienia ,odrzucenia wartości ludzkich, wiecznych, boskich.

Ks. K. Michalski C. M.

MIĘDZY HEROIZMEM A BESTIALSTWEM

Studium filozoficzno-religijne

Str. 417.

W-ctwo Mariackie, Kraków 1949.

Cena 16/6, z przesyłką 17/-

Do nabycia w VERITAS F. P. Centre, 12, Praed Mews, London, W. 2

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

ZAKONNICE GŁODUJĄ WE FRANCJI

Przedstawiciel amerykańskiego N.C.W.C. na Europę, p. Mc Cluskey, stwierdza w swoim raporcie, że w południowej i środkowej Francji zakonnice po klasztorach są w tak złej sytuacji materialnej, że dosłownie głodują.

W jednym z klasztorów S.S. Karmelitanek, na ogólną liczbę 24 zakonnic, 15 było tak osłabionych głodem, że nie mogły wstawać!

TOW. Św. WINCENTEGO à PAULO MA 200.000 CZŁONKÓW

Towarzystwo św. Wincentego à Paulo ma dziś 200.000 członków w 70 krajach.

Liczba członków Towarzystwa szczególnie szybko w ostatnich czasach wzrasta w Północnej i Południowej Ameryce, oraz w Japonii.

NOWA KATEDRA UNICKA W KANADZIE

Liczba unitów w Kanadzie, prawie wyłącznie Ukraińców, wynosi 234.000 dusz. Mają oni tam swoją własną organizację kościelną, złożoną z jednego arcybiskupstwa i trzech biskupstw. W tych czterech jednostkach hierarchicznych pracuje 160 księży unickich. (Dla porównania podać można, że w Stanach Zjednoczonych było w roku 1942 — 831 polskich parafii rzymsko-katolickich z 1503 księżmi, nie posiadają oni jednak — rzecz prosta — odrębnej organizacji kościelnej).

W najbliższym czasie zostanie poświęcona nowa katedra unicka w Kanadzie, katedra św. Włodzimierza i Olgi w Winnipegu. Poświęcenia dokona osobiście sekretarz Kongregacji Kościołów Wschodnich, X. Kardynał E. Tisserant.

NAWRÓCENIE ZAKONNIC ANGLIKAŃSKICH

Kościół anglikański posiada zgromadzenia żeńskie, wzorowane na katolickich zgromadzeniach zakonnych, poświęcone pracy misyjnej, wśród pogan, a noszące nazwę Sióstr Krzyża Świętego. Zgromadzenie to posiada dom na wyspie Guadacanal niedaleko Nowej Gwinei. Dom ten prowadził misyjną akcję anglikańską na Wyspach Salomona i Nowych Hebrydach. Składał się z pięciu Angielek — przeważnie mających ukończone studia uniwersyteckie — i ośmiu sióstr tubylczych. Przełożoną i założycielką domu jest Matka Małgorzata, powinowata poprzedniego anglikańskiego prymasa Anglii, arcybiskupa kanterberyjskiego dra Temple. Była ona poprzednio kierowniczką szkoły Anglikańskiej Misji Melanezyjskiej w Torgil, która to szkoła obsługiwała wielkie wyspy Malaita, Guadacanal i Makera. I ona i większość pozostałych sióstr pracowały w misji anglikańskiej w tamtych stronach już od wielu lat, chociaż w czasie wojny, wskutek działań wojennych, teren ich działalności nieco się przesunął. W czasie całego tego czasu utrzymywały one doskonałe stosunki z misjami katolickimi, a między innymi z katolickim wikariuszem apostolskim południowej części Wysp Salomona, ks. biskupem Aubin.

W dniu 2 lipca b.r. odbyły one posiedzenie o charakterze zebrania kapituły i powzięły jednomyślną, uroczystą uchwałę, proszącą Kościół katolicki o zbiorowe przyjęcie ich na swoje łono

Prośba ta została spełniona. Obecnie odbywają okres przygotowawczy nauki wiary katolickiej, a potem będą prowadziły katolicką akcję misyjną jako grupa, która nie zostanie rozłączona.

Na polecenie biskupa Aubin, przez pierwszych kilka tygodni po ich zerwaniu z Kościołem anglikańskim, prowadziły one powierzone ich pieczy instytucje anglikańskie, by nie narażać ich na szwank. Obecnie jednak zdały już te instytucje osobom, przysłanym przez Kościół anglikański na ich miejsce i przeniosły się do katolickiego domu w miejscowości Honiara.

WSZYSCY BURMISTRZE SYCYLIJSCY — DO RZYMU

Prezydent rządu prowincjonalnego Sycylii (wyspa Sycylia po wojnie otrzymała autonomię dzielnicową, której się oddawna domagała, a wraz z nią i rząd o zakresie uprawnień zbliżonym do t.zw. Wydziału Krajowego Galicji przed rokiem 1918), a wraz z nim wszyscy bez wyjątku burmistrze gmin sycylijskich, odbyli zbiorową pielgrzymkę na Rok Święty do Rzymu.

NOWOŚCI NAUKOWE

OCIEPLENIE SIĘ KLIMATU W EUROPIE — STOPNIOWY ZANIK LODOWCÓW — SKĄD PRZYBYLI DO AMERYKI PIERWSI LUDZIE — MŁODOŚĆ, CYWILIZACYJNA NOWEGO ŚWIATA

LUDZIE na ogół rzadko kiedy pamiętają, jaka pogoda panowała w roku poprzednim — czy lato było ciepłe, czy zima zaznaczyła się ostrymi mrozami, czy też było odwrotnie. Zeszłoroczne, szczególnie długie i upalne lato musiało jednak utkwić w pamięci każdego — i po raz pierwszy chyba mówiono wówczas tyle o ogólnym ociepleniu się klimatu Europy. Deszcze i chłody tegoroczne mniej usposabiają do tego rodzaju rozmów. A jednak wzrost przeciętnej temperatury rocznej w ciągu ostatniego dziesięciolecia jest faktem, stwierdzonym doświadczalnie przez meteorologów europejskich. BBC poświęciło temu niedawno bardzo interesującą audycję.

Prelegent, James Paton, podkreślił, że to ocieplenie się klimatu, przynajmniej jeśli chodzi o Wielką Brytanię, jest jak dotąd bardzo nie wielkie. Średnia temperatura ostatnich paru lat była tylko o jeden stopień wyższa od średniej pierwszych trzydziestu lat XX stulecia. Niemniej pewne objawy są godne zastanowienia. Zeszłoroczny czerwiec był najgorętszy od lat dziesięciu; zeszłoroczny wrzesień w Anglii południowo - wschodniej miał najwyższą średnią temperaturę od lat 200, tj, od czasu, kiedy w ogóle poczęto robić regularne zapiski meteorologiczne.

Nasuwa się pytanie: jak ta ogólna tendencja do ocieplenia się odbiła się na roślinności — czynniku tak wrażliwym na wszelkie zmiany temperatury? W tej dziedzinie nie zanotowano do tej pory żadnych zmian. Niektórzy z farmerów stwierdzają tylko, że mogą wypasać bydło w październiku lub listopadzie nieco dłużej, niż to bywało dawniej.

Za to wzrost temperatury odbija się już teraz na tzw. wiecznych śniegach i na lodowcach. W górach szkockich k. przełęczy Cairngorm istniał duży płat „wiecznego śniegu", który wedle niedawnych jeszcze zapisków w przewodnikach nigdy całkowicie nie topniał. W ciągu jednak ostatnich piętnastu lat ów płat śniegu kilkakrotnie znikał całkowicie w jesieni — niewątpliwie w związku z zachodzącymi zmianami klimatycznymi.

Zmiany te jeszcze silniej zaznaczają się w innych krajach, położonych nad brzegami północno-zachodniej części Atlantyku; są one najwydatniejsze w okolicach arktycznych i subarktycznych, np. w Islandii. Pod ich wpływem następuje kurczenie się lodowców i powolne przesuwanie się w górę granicy lasów. Zmniejszanie się lodowców zauważono nawet w Szwajcarii; w większym stopniu występuje ono w Norwegii. Niedawno jedno z czasopism ilustrowanych zamieściło interesujące fotografie, przedstawiające lodowiec Abrekke w Jotunheim w Norwegii. Pierwsza z tych fotografii dokonana została w siódmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, druga obecnie; różnica w rozmiarach lodowca jest uderzająca. W krajach skandynawskich, w Finlandii i Alasce granica lasów przesuwa się nie tylko w górę, ale także w kierunku północnym. W Islandii i Finlandii udało się — w związku z ociepleniem się klimatu — powiększyć obszar uprawy zbóż.

Zmiana klimatu tych okolic powodowana jest w znacznej mierze przez wiatry południowo-zachodnie na Atlantyku północnym, które przynoszą ze sobą z południa fale ciepłego powietrza. Częstość i siła tych wiatrów w ostatnim okresie znacznie wzrosła.

Prelegent nie wyjaśnił jednak, czemu ten objaw należy przypisać i czy analogiczne zjawiska zaobserwowano również w innych częściach świata, np. w południowych regionach subarktycznych. Badania nad przyczynami zmian klimatycznych i nad przypuszczalnymi rozmiarami tych zmian znajdują się dopiero w stadium początkowym.

* * *

Utarło się określenie Ameryki jako Nowego Świata dlatego, że kontynent ten odkryty został i udostępniony dla osadnictwa Europejczyków dopiero 450 lat temu. Niemniej przeciwstawianie Nowego Świata światu staremu, obejmującemu Azję, Europę i Afrykę, ma dużo głębsze uzasadnienie. Nowe badania geologiczne i archeologiczne potwierdziły w pełni przypuszczenie, wyrażone już dawniej, że kontynent Amerykański zamieszkiwany jest przez ludzi stosunkowo od niedawna — słowo to pojmować należy oczywiście w kategoriach archeologii — i że przybyli oni na ten kontynent właśnie ze Starego świata, który uważać można za kolebkę rodzaju ludzkiego.

Badania z tego zakresu zrekapitulował niedawno w artykule o starożytnych ludach pogórza andyjskiego archeolog i geolog brytyjski G.H.S. Bushnell. Stwierdza on, że nigdzie w Ameryce nie znaleziono szczątków człowieka paleolitycznego. Przyjmuje się powszechnie, że pierwsi ludzi przybyli na kontynent amerykański w czasie, gdy pokrywa lodowa cofnęła się ku północy dostatecznie, by umożliwić wędrówki ludzkie z Azji północno-wschodniej poprzez Cieśninę Behringa do dzisiejszej Alaski i stamtąd na południe wzdłuż wschodniego zbocza Gór Skalistych (Rockies). Nie można oczywiście ściśle określić daty tej pierwszej wędrówki, ale świadectwa geologiczne wskazują na to, że odbyła się ona w czasie od 10.000 do 40.000 lat temu. Jest to niewątpliwie przeszłość zamierzchła, dla porównania jednak warto zaznaczyć, że wedle przyjętych dziś w nauce poglądów, w Starym Świecie ludzie już 600.000 lat temu zaczęli używać pierwszych narzędzi.

Pierwsi przybysze zza Cieśniny Behringa byli to prymitywni myśliwi bez stałych miejsc zamieszkania. Nie znali rolnictwa, garncarstwa, tkactwa ani obróbki metali. Używali narzędzi z kamienia niezdarnie ociosanego przez ostukiwanie lub nacisk. Ślady tej pierwszej kultury — która nosi nazwę kultury Folsom (Folsom Culture) — znaleziono w Stanach Zjednoczonych; wiek wykopalisk oceniany jest na 10 — 15.000 lat. W Ameryce Południowej analogiczne wykopaliska są znacznie młodsze, gdyż osadnictwo ludzkie zwolna tylko posuwało się wzdłuż Pacyfiku w kierunku południowym. Badania przeprowadzone przez Juniusa Birda w Patagonii, a więc na przeciwnym krańcu kontynentu amerykańskiego, wykazały, że wiek najstarszych wykopalistk, analogicznych do tych, o których mowa była wyżej, nie przekracza 5.000 lat. Na tej podstawie przypuszcza się, że pierwsi ludzie przybyli do Peru i krajów sąsiednich nie wcześniej, niż jakieś 5.000 do 10.000 lat temu.

W ciągu kilku tysiącleci doszło stopniowo do powstania trzech wybitniejszych ognisk kulturalnych: na terenie dzisiejszego Meksyku (Mayowie w Yucatanie i Aztekowie we właściwym Meksyku), oraz w Peru; dalszemu rozwojowi i przeobrażeniom kultur tubylczych kres położyła inwazja zdobywców hiszpańskich. Warto przy tej sposobności zanotować, że świetność państwa Inkasów w dzisiejszym Peru trwała stosunkowo bardzo krótko. Miejsce pochodzenia Inkasów nie jest znane; na terenie Peru poprzedziły ich ludy niższej kultury, a Inkasi przybyli tam prawdopodobnie dopiero w XII wieku naszej ery. Ich późniejsze dzieje nie są bliżej znane do chwili, gdy w XV wieku zaatakowani zostali przez swych potężnych sąsiadów Czanka. Inkasi pokonali ich pod wodzą swego władcy Paczakuti, który koronował się w r. 1438. Od tego czasu zaczyna się szybka ekspansja Inkasów, którą kontynuuje syn Paczakuti Topa Inka i wnuk Huayna Kapak.. Ich państwo ogarnia nie tylko dzisiejsze Peru, ale także Ekwador, Chile i północno - zachodnią Argentynę. Już jednak w r. 1527 konkwistador hiszpański Pizarro ląduje po raz pierwszy na wybrzeżach Peru. Państwo Inkasów, a z nim cała jego cywilizacja upada po zaledwie wieku swego rozkwitu.

(TS.)

NA MARGINESIE

ABY HANDEL SZEDŁ

Z PRZEMÓWIENIA Churchilla, z odpowiedzi premiera Attlee i odgłosów prasy dowiadujemy się, że W. Brytania jest głównym dostawcą Rosji i jej satelitów w zakresie: obrabiarek (typu specjalnie przeznaczonego dla produkcji tanków), powietrznych kompresorów, elektrycznych generatorów, motorów Diesel'a, ekskawatorów, kabli, drutu, instrumentów precyzyjnych, lekarstw, chemikalii i farbników. Dla nadzorowania produkcji niektórych maszyn, a w szczególności obrabiarek dopuszczeni są inżynierowie sowieccy. Dyrektor fabryki Braci Craven (obrabiarki) p. J. R. Greenwood ogłasza, że nie ma sposobu przy wysokich kwalifikacjach rosyjskich inżynierów, by móc zapobiec ujawnieniu utrzymywanych w tajemnicy szczegółów, związanych nie tylko z produkcją, z rodzajem maszyn zamówionych, ale i innych rosyjskimi obstalunkami nieobjętych.

To nie wszystko. Ponieważ wartość importowanych do W. Brytanii z Rosji i z krajów za Żelazną Kurtyną produktów żywnościowych i drzewa przekracza wartość towarów do tych państw wywożonych, więc Rosja zużywa otrzymane dodatnie saldo w funtach na zakup trzech surowców o strategicznym znaczeniu, a mianowicie: wełny z Australii, kauczuku i cyny z Malajów. Komentarze są zbyteczne, skomentuje to napewno Waszyngton.

Gdy wojska bolszewickie zagrażały w 1920 roku Warszawie, misja sowiecka, złożona z Krassina i Kamieniewa prowadziła w Londynie rokowania handlowe.

LUCULLUS U LUCULLUSA

FIRMA M. Goldwyn-Mayer pracuje w Rzymie nad produkcją filmu, opartego na powieści Sienkiewicza „Quo Vadis". Zbudowano już kopię Circus Maximus. W filmie występuje 100 aktorów, uszyto 10.000 kostiumów i w pewnej chwili 50 lwów ukazuje się na scenie. Przeprowadzono pod kontrolą znawców epoki studia nad jadłospisem w scenie bankietu u Nerona. Najwyższe w tej sprawie autorytety ułożyły „menu" następujące: oliwki, jaja na twardo, kawior, sardele, faszerowane susły, krewetki, mięczaki, morskie jeże, ostrygi, barweny, karpie, turboty, bażanty, perliczki, drozdy, języki skowronków, przeróżne kiełbasy, wymiona świni z sosem z tuńczyka, polędwica z kozła, filety z młodych dzikich osłów, głowy dzików, wszystkie gatunki jarzyn, owoców, serów, a także ciasta.

Gdy generał Lucullus był raz niezadowolony z „menu" bankietu, zawołał intendenta i kazał by było ono zawsze układane z myślą, że to Lucullus jest gościem u Lucullusa. W danym wypadku nie było można zrobić nic więcej jak powiedzieć reżyserowi, że to sam Neron jest gościem u M. Goldwyn-Mayera. Może to wystarczy.

KURA I PROPAGANDA

GENERAŁ Eisenhower doradza prowadzenie intensywniejszej propagandy radiowej. „Gdy Amerykanie umierają w Korei, powiada on, milionom w Warszawie, Pradze i Moskwie powiedziane będzie, że umierają w obronie amerykańskiego imperializmu. Nie usłyszą oni nic innego, jak przepojone jadem nienawiści tyrady, skierowane przeciw Stanom Zjednoczonym".

W sprawie tego, co trzeba mówić milionom w Polsce i Czechach, trzeba przede wszystkim radzić się kompetentnych ośrodków polskich i czechosłowackich. Do jakiego stopnia Amerykanie nie orientują się, co należy mówić obywatelom sowieckim, niech świadczy przykład następujący: — Propaganda radiowa ma polegać na zestawianiu czasu, jaki robotnik w Ameryce i Rosji musi poświęcić dla zarobienia sumy potrzebnej dla nabycia tego czy innego produktu. I tak komsomolcy usłyszą: „Dla zakupu kury robotnik amerykański pracuje 18 minut a rosyjski musi pracować 3 godziny i pięć minut". Można z góry przewidzieć odpowiedź komsomolców: „W pracy Was pobijemy, bo frykasów z kur nie jemy!". X.Y.Z.

NOTATKI

25-lecie Konkordatu Polskiego

W ROKU bieżącym minęło ćwierćwiecze od chwili zawarcia pomiędzy Rzeczypospolitą Polską a Stolicą Apostolską Konkordatu regulującego wzajemne stosunki pomiędzy Kościołem a państwem w Polsce.

Jest to szmat czasu, a zaszłe w tym okresie zmiany świadczą wymownie, że Konkordat zdał egzamin życiowy, że był umową trwale i pomyślnie dla obu stron regulującą tak ważną dziedziną życia, jak Kościół katolicki w państwie katolickim, lecz o dużym odsetku wyznań innych, chrześcijańskich i niechrześcijańskich.

Fakt wypowiedzenia Konkordatu w r. 1946 przez rząd jałtański Stolicy Apostolskiej świadczył tylko o tym, że Polska przestała być państwem wolnym, że narzucony jej został ustrój obcy, że ustrój ten odrzucił zasadę wolności Kościoła i ścisłej współpracy państwa ze Stolicą Apostolską właśnie na podstawie wolności Kościoła, że wreszcie inny pogląd na świat, obcy zachodniej kulturze oraz istocie chrześcijaństwa zapanował w tej części Europy pod obuchem siły i przemocy.

Natomiast fakt wypowiedzenia Konkordatu i jednostronnego zerwania dwustronnej umowy międzynarodowej w niczem nie wpłynął na fakt inny, stokroć ważniejszy — że Kościół Katolicki w Polsce w swoich zrębach organizacyjnych i kościelnych przetrwał burzę wojenną w tych formach, które nadał mu Konkordat i rdzeń swój podstawowy zachował w stanie nienaruszalnym. Ani straty ludzkie i majątkowe, ani prześladowania eksponentów obcej władzy, ani nieprawne zmiany granic państwowych i oderwanie szeregu diecezji od Polski — nie umniejszyły tego faktu, że siła zorganizowanego Kościoła w Polsce płynęła między niemi z owego Konkordatu z r. 1925.

Stąd będzie rzeczą słuszną przypomnieć sobie w 25-lecie Konkordatu polskiego w sposób najbardziej ogólny zasady na których oparł on stosunki pomiędzy państwem i Kościołem i jakie stworzył ramy dla życia religijnego w Polsce.

Konkordat jest wzorem uczciwego porozumienia, którego zasady uwzględniają na podstawie zdrowego kompromisu wzajemne interesy obu kontrahentów. Zawierany on był — jak stwierdzają wstępne słowa — „celem ustalenia zasad, które w godny i trwały sposób" mają kierować sprawami kościelnymi na ziemiach Rzeczypospolitej.

Dawał ten Konkordat Kościołowi, bez różnicy obrządków, pełną wolność rządzenia się, wolność jurysdykcji i administracji „zgodnie z prawami boskimi i prawem kanonicznym". Inaczej mówiąc, zgodnie z zapowiedzią Konstytucji, uznawało państwo z góry w rzeczach kościelnych przepisy prawa kanonicznego, nie badając czy zgodne one będą z prawami państwowymi. Zezwalał biskupom, wiernym i duchowieństwu na bezpośrednie i swobodne znoszenie się ze Stolicą Apostolską. Ustalał rezydowanie Nuncjusza apostolskiego w Polsce i Ambasadora polskiego w Watykanie w celu „utrzymania przyjaznych stosunków" pomiędzy Polską i Stolicą Apostolską. Zobowiązywał biskupów polskich do przysięgi „wierności Rzeczypospolitej Polskiej, lojalności i szacunku dla rządu konstytucyjnego" i spowodowania takiegoż stosunku duchowieństwa do państwa. Zakazywał hierarchii i klerowi uczestniczenia w porozumieniach i naradach, „które by mogły przynieść szkodę Państwu polskiemu lub porządkowi publicznemu", nakazywał odwracanie wszelkich niebezpieczeństw, które temu państwu mogłyby zagrażać.

Konkordat dokonywał podziału terenu Polski na prowincje kościelne i diecezje, ustalając szczegółowo trzy obrządki: łaciński, greko-katolicki i ormiański. Inne obrządki, jak bizantyński, miały podlegać ordynariuszom łacińskim. Wilno i Lwów stanowiły cztery prowincje kościelne z metropolitami na czele: dwóch łacińskich, jeden greko-katolicki i jeden ormiański.

Konkordat był świadectwem postępowości Kościoła w sprawach społeczno - gospodarczych. Jak stwierdzał art. XXIV p. 5. jego „aby polepszyć gospodarcze i społeczne położenie ludności rolniczej i aby wzmóc tym bardziej pokój chrześcijański kraju", Stolica Apostolska zgadzała się na wykup dóbr ziemskich kościelnych, przewyższających dość skromne, a zastrzeżone normy ziemi dla parafij, kapituł, mens biskupich i seminariów. Zastrzegała też sobie Stolica Apostolska prawo „osób prawnych kościelnych i zakonnych" na równi z osobami prawnymi świeckimi do dokonywania parcelacji ziem rolnych Kościoła.

Konkordat przestrzegał zasady praworządności i bezpieczeństwa państwa, usuwając duchownych, których działalność jest sprzeczna z bezpieczeństwem państwa i zastrzegając biskupowi-ordynariuszowi prawo zaznajomienia się z aktami sądowymi duchownego, postawionego przed sądem z oskarżenia o zbrodnie, przewidziane przez prawa karne Rzeczypospolitej.

Ustalał wreszcie Konkordat dotacje państwowe na rzecz Kościoła za ziemie skonfiskowane mu przez rządy zaborcze, ziemie, które znalazły się w posiadaniu państwa, do czasu odrębnego układu w sprawie ich dalszego losu. Zabezpieczał wreszcie wychowanie religijne młodzieży i naukę religii w szkołach początkowych i średnich zakładach naukowych.

Państwo zapewniało Kościołowi szczególną opiekę prawną i pomoc władz państwowych dla władz kościelnych w szeregu przewidzianych wypadków. Zgodnie z art. VIII Konkordatu w niedziele i w dniu święta narodowego 3 Maja księża odprawiający nabożeństwa, odmawiają modlitwę liturgiczną za pomyślność Rzeczypospolitej i jej Prezydenta.

Konkordat w całości swych postanowień stanął na tradycyjnym gruncie stosunku Polski, jako kraju katolickiego, do Kościoła rzymsko-katolickiego i Stolicy Apostolskiej, lecz w najmniejszej mierze nie dotknął w sposób uszczuplający zasady tolerancji i wolności innych wyznań. Nieporozumienia terenowe, lokalne pomiędzy poszczególnymi wyznaniami, wynikały wyłącznie z ułomności ludzkiej i źle zrozumianej gorliwości.

Konkordat polski przetrwał próbę pierwszego okresu odrodzonej państwowości polskiej szczęśliwie, świadcząc, że współpraca państwa i Kościoła układała się na właściwie pomyślnych podstawach. Były zgrzyty i tarcia w szeregu zagadnień, lecz ogólny bilans stosunków państwowo-kościelnych był dodatni, świadczący, że Konkordat odpowiadał polskim stosunkom społeczno-politycznym.

Godziło się to przypomnieć w 25 rocznicę Konkordatu wobec tragicznej rzeczywistości politycznej i kościelnej w Polsce w chwili obecnej. (w. ż.)

Śpiewnik kościelny

CZYTALIŚMY niedawno w jednym z katolickich czasopism krajowych artykuł, w którym było stwierdzenie, że wieś polska coraz mniej śpiewa w kościele. Ludzie modlą się, uczęszczają tłumnie na nabożeństwa, ale śpiewają coraz mniej. Nie tylko, że nie śpiewają, ale nie znają tekstów i melodyj pieśni. Polska pieśń religijna jako żywe zjawisko —w szerokich masach polskich ginie. Ginie nawet kolęda. Nie wszędzie jest jednakowo. Naprzykład — podobno — Górny Śląsk śpiewa po kościołach stosunkowo więcej od innych dzielnic.

Emigracja, rzecz prosta także mało śpiewa. Na obczyźnie źródła narodowej tradycji wysychają szybciej, niż w kraju.

Oczywiście, można być dobrym katolikiem i dobrym Polakiem nie znając polskich pieśni religijnych. Uczestnictwo we Mszy św. cichej, we Mszy św. recytowanej czy Mszy św. gregoriańskiej jest równie dobrą — a niektórzy mówią, że nawet lepszą — formą uczestnictwa, jak śpiewanie w czasie świętego Obrządku polskich pieśni. Zaprzeczyć się jednak nie da, że znajomość i żywe stosowanie dorobku polskiej pieśni kościelnej, wytworzonego przez tysiąc lat trwania Polski katolickiej, jest bardzo ważną formą uczestnictwa w życiu Polski, jako katolickiej zbiorowości. I byłaby szkoda, gdyby się to miało zatracić.

Toteż dobrze uczynili X. K. Krzyżanowski i Koło Księży Prefektów w Wielkiej Brytanii, że wydali „Śpiewnik Kościelny"*), który polską pieśń kościelną szerokiemu ogółowi emigracji przypomina, a młodego pokolenia polskiego pieśni tej uczy.

„Śpiewnik" zawiera 132 pieśni, a w tej liczbie też i najgłówniejsze, wspólne całemu Kościołowi zachodniemu pieśni łacińskie oraz tekst Mszy św. śpiewanej.

„Śpiewnik Kościelny", rzecz prosta, repertuaru polskiej pieśni religijnej nie wyczerpuje. Naprzykład — kolęd zawiera 21, podczas gdy ich ilość wynosi podobno setki. Jednak podaje wszystko to, co najważniejsze. 132 pieśni — to jest duża ilość. Format „Śpiewnika" jest dogodny, można go brać z sobą do kościoła, do najmniejszej kieszeni i do damskiej torebki. Cena jest dla każdego dostępna.

Należy życzyć „Śpiewnikowi", by rozszedł się wśród Polaków w W. Brytanii jak najszerzej. J. G.

*) Nakładem Kat. Ośrodka Wyd. Veritas. Londyn, 1950. Str. 147. Cena 2/6 plus 6 d przesyłka.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatnego okresu

KSIĄŻKA GENERAŁA BORA

Na półkach księgarskich ukazała się książka gen. T. Bora-Komorowskiego, b. dowódcy Armii Krajowej, o polskim ruchu podziemnym i o powstaniu warszawskim. Książka nosi tytuł „The Secret Army"; wydana została przez firmę Gollancza. Cena 21 szylingów.

KRYTYKA FESTIVALU EDYNBURSKIEGO

Nie można powiedzieć, by tegoroczny festival edynburski miał „dobrą prasę", czy to w zakresie muzyki, czy dramatu.

Recenzent muzyczny „Sunday Times" Ernest Newman surowo skrytykował narzucanie orkiestrom zagranicznym, biorącym udział w festivalu, brytyjskich dyrygentów. Orkiestra musi być zgrana ze swym dyrygentem przez czas dłuższy, by móc w pełni wyzyskać swe możliwości artystyczne. Nic też dziwnego, że koncert „Radiodiffusion Française", dany pod batutą Sira Thomasa Beechama, zupełnie się nie udał; wszyscy słuchacze wyczuwali brak zrozumienia między orkiestrą a dyrygentem. Następnego dnia ta sama orkiestra grała pod batutą swego własnego dyrygenta, Rogera Désormière, i wynik był lepszy. Niemniej, jak utrzymuje Newman, Francuzi wyjechali z Edynburga zasmuceni i urażeni.

Newman krytykuje też ostro repertuar innych koncertów; grano, jego zdaniem, szereg utworów absolutnie poniżej poziomu festiwalowego. Do nieudanych zupełnie utworów zalicza koncert wiolonczelowy kompozycji amerykańskiego krytyka muzycznego Virgila Thomsona, grany przez A. Pini'ego. Ogólne uznanie natomiast wywołał występ „Statsradiofonien Orchestra" z Kopenhagi, która wykonała szereg najlepszych utworów Brahmsa.

Jeśli chodzi o dramat, żadna z dwu sztuk, których premiery odbyły się w Edynburgu, ani „The Atom Doctor" Erica Linklatera ani „Queen's Comedy" Jamesa Bridie, nie zyskała uznania krytyki. Obie stoją znacznie poniżej poziomu „The Cocktail Party" T. S. Eliota, sztuki, która stanowiła „clou" zeszłorocznego festivalu edynburskiego. Jak podkreślają jednak niektórzy krytycy, nie zawsze można mieć utwór tej miary i dlatego należy być pobłażliwszym w ocenie tegorocznego festivalu, tym bardziej, że obfitował on w doskonałe przedstawienia sztuk dawniejszych.

PROF. JOAD PRZECIW „LOGICZNEMU POZYTYWIZMOWI"

W okresie poprzedzającym Drugą Wojnę Światową, dominującym kierunkiem filozoficznym w Anglii był tzw. logiczny pozytywizm, nawiązujący do koncepcji Davida Hume'a, osiemnastowiecznego filozofa angielskiego. Doktryna nowoczesnego „logicznego pozytywizmu" ujęta została najpełniej w książce prof. Ayera „Language, Truth and Logic". Przyjmuje ona za Humem, że doświadczenie umysłu ludzkiego składa się wyłącznie z kolejno po sobie następujących wrażeń zmysłowych i obrazów i że twierdzenie, które nie może być sprawdzone przez te wrażenia i obrazy, nie ma w ogóle znaczenia. Wynika stąd, że zadaniem poszczególnych gałęzi nauki jest ujęcie w odpowiednie ramy organizacyjne tych wrażeń i obrazów, filozofia zaś może być tylko „logiką języka" (w związku z tym pozostaje nacisk, jaki „logiczni pozytywiści" kładą na semantykę, to jest naukę o znaczeniu słów, źródłem bowiem wszystkich słów są, według nich oczywiście, również odczuwane przez nas wrażenia i obrazy).

Przeciw temu kierunkowi wyruszył w szranki prof. C. E. M. Joad, który od pewnego czasu odbywa, powolną zresztą bardzo, ewolucję w kierunku religijnego poglądu na świat. Ogłosił on książkę pt. „A Critique of Logical Positivism" (Gollancz, cena 10/6), w której m. in. podkreśla rozkładowy i paraliżujący charakter „logicznego pozytywizmu" i uzasadnia byt obiektywny zasad etycznych.

Zdaniem jednak recenzenta „Times Literary Supplement" wywody prof. Joada nie są dostatecznie rozwinięte ani przemyślane z filozoficznego punktu widzenia.

TELEWIZJA POPRZEZ KANAŁ LA MANCHE

W niedzielę, 27 sierpnia po raz pierwszy telewizja przekroczyła cieśninę morską, dzielącą Francję od Anglii. Transmitowano widok placu przed ratuszem w Calais i przemówienie mera tego miasta, skierowane do społeczeństwa brytyjskiego, a później pochód karnawałowy mieszkańców Calais. Obrazy telewizyjne przekazane zostały drogą radiową z Calais do Dovru, stamtąd ponad Kentish Downs do Alexandra Palace pod Londynem, a następnie zwykłym szlakiem do nowej wielkiej stacji telewizyjnej w Sutton Coldfiell koło Birmingham.

Prasa przypomina, że akurat sto lat temu oddany został do użytku pierwszy podmorski kabel telegraficzny między Anglią a Francją. Rocznicy tej poświęcona jest specjalna wystawa w „Science Museum", South Kensington.

W każdym domu polskim
KATECHIZM PODSTAWOWY
Zamawiać
w KATOL. OŚRODKU WYDAWNICZYM „VERITAS"

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administ acja: AMB 68 79. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed", wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Seetion Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.